ROK 58 WE LWOWIE, 1 KWIETNIA 1936 R. Nr. 4

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

FRANCISZEK ZAMOYSKI

O ochronie dzika

Obecnie obowiązujące przepisy prawne, dotyczące czasu ochrony dzika są zapoznaniem faktu, że dzik nietylko nie jest na wymarciu, ale przeciwnie w niektórych województwach rozmnaża się aż nadto gwałtownie, wyrządzając ludności rolnej olbrzymie szkody.

Gdy w Sejmie galicyjskim radzono nad prawem łowieckiem, nie brakło wśród ówczesnej większości sejmowej glosów domagających się różnych przywilejów dla łowiectwa, a jednak nikt z wnioskodawców nie śmiał posunąć entuzjazmu do tego stopnia, aby się domagać ochrony dzika.

Taka inicjatywa była w ówczesnym „szlacheckim" Sejmie nie do pomyślenia. Niefortunnego wnioskodawcę byłaby jednolita opinja publiczna napiętnowała, odsądzając go od czci i wiary!

Więc choć zasiadali w tym sejmie krajowym myśliwi nie gorsi od dzisiejszych i niemniej od dzisiejszych o kulturę łowiectwa dbający, to jednak ponad rozmiłowanie łowiectwa — kładli wzgląd na skutki wynikające z tego rozmiłowania dla ludności sąsiadującej z terenami łowieckiemi.

A przecież w owych dawnych czasach poczucie altruizmu społecznego nie bylo jeszcze tak rozwinięte jak dziś. Nie było rozbudowanych ustaw społecznych, nie było jeszcze tak mozolnej jak dziś opieki społecznej nad bliźnim, nie było przechodni, poradni, odradni, było zato rozumowanie, może prymitywne, ale logiczne: że skoro dziki niszczą plony — należy dzika tępić i basta. I nie było w tem rozumowaniu przesady. Ludność nie kolorywała, gdy mówiła, że należy dziki zdziesiątkować, bo zdolność wyrządzania szkody jest u dzika tak olbrzymia, że jedna sztuka potrafi w ciągu godziny przeorać spory łan kartofli, albo szmat owsa. Doszło przecież do tego, że we wielu okolicach nawiedzonych plagą dzika — chłop latem rzadko kiedy może nocować w domu. Noce spędzać musi w kolibie, przy ogniu, w pobliżu zagonu, wśród hukania, trąbienia, stukania. To pilnowanie pola staje się w tych okolicach sezonowem zajęciem wsi. Słyszy się: „Idę do koliby, wracam z koliby, poślę syna do koliby", bo ktoś stale musi być przy ogniu, musi trąbić, krzyczeć, hukać, noc po nocy. A pomimo to bywa, że rano jest zagon przeorany, a plony zniszczone. Wina wtedy jest oczywiście po stronie chłopa, bo się zdrzemnął, a wtedy rzecz wiadoma, chytry zwierz wnet się spostrzeże i bezkarnie sobie używa.

Więc choć już za dawnych czasów serce myśliwego rwało się do strzału do dzika i choć już wtedy możni tego świata zjeżdżali się w chwilach wolnych od trudów dnia do zaśnieżonej kniei, nie myślano wtedy o roztaczeniu opieki na ród dziczy. Kontentowano się, czem chata bogata, czem bór darzy, a specjalnie dzika strzelano bez ograniczenia ku uciesze także i nagonki, która nieraz rozpoznawała w ubitej sztuce, najgroźniejszego, znienawidzonego bandytę okolicy.

Ale spójrzmy na to zagadnienie z innej strony.

Oto prawo czyni właściciela lasu, w którym dzik ma swoją ostoję, odpowiedzialnym za szkodę przez dzika wyrządzoną. Zdawałoby się, że z takiej odpowiedzialności urość musi dla właściciela lasu jeżeli już nie obowiązek, to przynajmniej prawo zmniejszenia tej odpowiedzialności przez dowolne tępienie szkodnika. Tymczasem tak nie jest.

Odpowiedzialność odpowiedzialnością a z dniem pierwszego marca dzik staje się na czas kilku miesięcy nietykalnym.

Wprawdzie władza w wypadkach wyjątkowych może zezwolić na odstrzał nawet w czasie ochronnym. Ale w myśl ustawy, tylko hodowlane albo naukowe względy usprawiedliwiają taki wyjątkowy odstrzał. Jeżeli zatem rozmnażające się dziki są z punktu widzenia hodowlanego bez zarzutu — jeżeli są silne, rosłe, jeżeli nie zatracają klasycznego typu dzikiej świni, odstrzał w czasie ochronym jest wykluczony, choćby wszystkie okoliczne pola zostały zryte, a wszystkie plony zniszczone, Ten stan rzeczy wydaje mi się nie do utrzymania. Tu, przesadna kultura łowiectwa — tam, zagrożone egzystencje, niepowetowane straty, i słuszne żale. Tu, coraz piękniejsze rozkłady — tam, coraz większe rozgoryczenie. Niewspółmierne wartości.

Zwolennicy perjodycznej nietykalności dzika powiedzą może, że na dnie tych obaw, jest poprostu lęk przed rosnącem z roku na rok odszkodowaniem. Zwolennicy nietykalności dzika nie pomylą się.

Bo, czy między innemi nie jest to także racją istotną? Czy gospodarstwa leśne mogą sobie pozwolić w dzisiejszych czasach na zbytek płacenia co roku olbrzymich sum za szkody wyrządzone przez dziki? Czy nie lepiej, aby te sumy zużytkowano w sposób produktywny? A potem — skoro dzik nie jest na wymarciu, skoro go nie zabrakło wtedy, gdy ochrony nie było, czy koniecznem jest, aby go słońce nietykalności rozmnażało ponad miarę? Cui bono?

*
* *

Obowiązująca obecnie w Polsce czteromiesięczna ochrona dzików (1 marzec — 30 czerwiec) nie przedstawia praktycznej wartości i na rozmnożę tej zwierzyny niema wpływu, gdyż w powyżej oznaczonym okresie, prócz miesiąca marca o ile jest śnieg, (w którym zresztą kulturalny myśliwy do prośnych loch strzelać nie będzie), dzik jest dla myśliwego trudno uchwytny i spotkanie z nim jest wypadkiem, a z nagonką nikt chyba wtedy polować nie zechce. I jak rozporządzenie to ochronne nie przyczyni się do rozmnoży tej zwierzyny, tak i żadne rozporządzenie w kierunku odwrotnym nie potrafi dzika u nas w Małopolsce wytępić, a nawet ich stanu wydatnie zmniejszyć, gdyż Karpaty w całej swej rozciągłości są niewyczerpanym „magazynem dziczym“ zasilającym czarną zwierzyną nasze bory. Wytępienie dzików może się dokonać w jakiejś okolicy na czas krótki. Szkody przez nie zrządzane są i będą i nic na to nie poradzimy, chociaż stan ich w ostatnim dziesięcioleciu w Małopolsce wskutek używania do polowania psów dzikarzy w stosunku do stanu przedwojennego wydatnie się zmniejszył. Zresztą w okolicach, w których grozi wytępienie dzików, mogłyby władze zamknąć na czas jakiś polowanie na nie.

Rozporządzenie ochronne dla dzików u nas dziś obowiązujące, nie dając w rozmnoży ich najmniejszego efektu, a więc bezcelowe, jest natomiast dla kultury i dobra łowiectwa szkodliwe i niebezpieczne. Wywołuje narzekania, skargi na myśliwych, antagonizm stanowy, bo nienawiść chłopa do myśliwego hodowcy i daje broń do ręki demagogji, która głosząc, że polowanie jest zabawką panów, dokonywaną z wielką szkodą dla ludności małorolnej, doprowadzić wkrótce musi do otwartego konfliktu z łowiectwem, bardzo dlań szkodliwego.

Dalecy jesteśmy od popierania walki eksterminacyjnej z czarną zwierzyną, przyznajemy jej bowiem nietylko wielką wartość myśliwską ale i wartość bardzo dodatnią w kulturze lasów, a przez to i prawo do bytu, musimy jednak przyznać też słuszność Autorowi powyżej umieszczonego artykułu, że się domaga zanulowania w jak najkrótszym czasie rozporządzenia ochronnego dla dzików. Takież stanowisko wobec powyżej poruszonej sprawy zajął Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na swem posiedzeniu w dniu 11 marca br., wychodząc ze słusznego założenia, że wprowadzony w Polsce ten czas ochronny, nie dając realnych korzyści łowiectwu, naraża je na nieobliczalne szkody moralne.

Red.



WŁODZIMIERZ KORSAK

Cztery dni lutego

Synowi memu Andrzejowi poświęcam.

Luty 1909 roku był mroźny i słoneczny, taki, jaką bywa prawie zawsze druga połowa zimy na dalszej północy.

Gdy po zdaniu pierwszych półrocznych egzaminów na Akademji, przyjechałem na wieś do domu na krótki odpoczynek, trafiłem właśnie na cudowną porę. Noce wygwiaździone i tak widne od tkwiącego gdzieś blisko zenitu księżyca, że średni druk można było z łatwością czytać, bezkresna biała cisza, przeszywana tylko trzaskiem pękających na mrozie pni drzewnych i dalekiem huczeniem lodowej powłoki jeziornej, które niby przeciągłe westchnienie olbrzymiej piersi, płynęło z zasnutej srebrzystą poświatą dali.

Wczesna przeczysta jutrzenka rozpalała pól nieba szafranową, od dołu zaróżowioną barwą, a zmarzły na kamień śnieg skrzypiał ochoczo pod raźnemi krokami myśliwca.

Gdy tylko słońce wzbiło się wyżej, srogi mróz nocny uciekał gdzieś ku dalszym, mrokiem nocy jeszcze objętym krainom, a na różowe masy śniegu spływało ciepło gwałtownie rosnącego dnia, z dachów zaś i nawisłych na świerkowych łapach zwałów śnieżnych, ciurkały wdół różańce kropel wodnych, błyszczących w wesołem słońcu, jak barwne djamenty. Lekkie powiewy szły wówczas przelotnemi falami przez roześmianą w blaskach słońca krainę, niosąc od borów sosnowych bajeczną woń żywiczną, a od szerokich moczarów łozowych subtelny zapach pierwszych, nieśmiało się ukazujących baziek.

Z nastaniem zmierzchu, gdy na liljowy wkrąg horyzontu pas poświaty zimowej wypływała blada twarz księżyca w pełni, gasły ostatnie podmuchy wiatru i znów cisza wszechmocna, biała cisza śnieżnej zimy północy brała w swe ramiona kraj cały, na tle przeczystego zachodu gdzieś poza fjoletową przestrzenią pól, niby daleka sina wstęga, kładła się do długiego snu nocnego bezkresna puszcza, ciągnąca ku sobie wieczną nicią tęsknoty całe me jestestwo, całą ukrytą pod kulturalną powłoką naturę pierwotnego człowieka.

Zaraz też nazajutrz po przyjeździe, wyruszyłem małemi saneczkami, zaprzęgniętemi w starego siwosza i zagłębiłem się w lasy, zaglądając po drodze do małych puszczańskich wioseczek, gdzie miałem znajomych osadników-myśliwych.

Wzrok mój z ekstazą biegł w górę, po odwiecznych pniach starej puszczy, ginącej dołem w błękitnym mroku, ku rozgorzałym w słońcu olbrzymim konarom sosnowym, z zachwytem spoczywał na zagajach brzezinowych, zasnutych różową pajęczyną młodych pędów, muskał w przelocie zielonkawe, lśniące niby atłas, pnie osiczyny.

Zaraz po południu zajrzałem do chaty leśnika-gajowego a nie zastawszy go w domu, pojechałem dalej ku pobliskiej wsi, rozłożonej na obszernem wzgórzu wśród równiny moczarów. Zimowa droga szerokim łukiem biegła przez wykoszony pas błot, obrzeżonych z dwóch stron

ścianą karłowatej brzozy i sosny, coraz wyższej, przechodzącej w oddali w szereg suchych, porosłych wysokopiennym lasem wysp.

Z siedziby gajowego przyłączył się do mnie piesek jego, niewielki Pacuś, dobry mój znajomy i biegł ze mną do wsi, w której bywał częstym gościem.

Siedziałem w środku jedynego na niskich saniach siedzenia, a wierna kurkowa trójlufka leżała obok mnie, lejce zaś trzymałem niedbale w lewem ręku, odzianem w futrzaną rękawicę.

A wtem z oddali, z widocznej już na wzgórzu wsi, rozległo się szczekanie psa, który widać zauważył zbliżające się sanie, Pacuś zaś, biegnący z tyłu za saniami, odpowiedział nań wesołem poszczekiwaniem. Jeszcze chwil parę przeszło i raptem Pacuś z podkulonym ogonem, sadząc rozpaczliwemi krokami przez śnieg głęboki, minął mnie i cisnął się prawie pod konia, wskoczył znów na ubity tor drogi. Jednocześnie kątem lewego oka dojrzałem ruch jakiś obok i zwracając głowę, spotkałem wzrokiem rozpędzoną w pogoni za psem puszystą postać wilka, ze stulonemi w tył uszami, rwącego olbrzymiemi susami w odległości pięciu kroków od sanek.

Błyskawicznym ruchem zrzuciłem luźne rękawice i trzymane w nich lejce, porwałem strzelbę, odwodząc jednocześnie kurek i robiąc pół obrotu na siedzeniu, palnąłem z przyrzutu w środek puszystego kłęba, który zwinął się właśnie w miejscu, chcąc uciekać.

Porwał nieco koń po niespodziewanym strzale, chwyciłem znów lejce i zatrzymałem sanki, które przez ten czas zdążyły ubiec ze dwadzieścia kroków.

Gdy obejrzałem się wstecz, ujrzałem wilka nieruchomo tkwiącego w miękkim, rozmokłym na słońcu śniegu, dalej zaś o paręset kroków drugiego, goniącego co sił i znikającego już między pierwszemi drzewkami gęstwiny.

Po półgodzinie powróciłem ze wsi z miejscowym myśliwym, obejrzałem zabitego zwierza, który okazał się piękną rosłą wilczycą o szerokiej czarnej wstędze wzdłuż grzbietu, oraz niebywale puszystem futrze, i odwiozłem go nazajutrz do gajówki dla zdjęcia skóry.

O pierwszym zmierzchu, gdy tylko stężały na silnym mrozie śnieg utrzymać mógł człowieka, poszedłem obejrzeć po tropach, skąd wilki te tak znienacka na mnie wypadły. Znalazłem dwa legowiska o 300—400 kroków od drogi w małej błotnej gęstwince świerkowej. Zwierzęta, widać głodne, spały lekko i nie uszło ich uwagi szczekanie psa na drodze. Chcąc skorzystać z łatwego, jak im się zdało, łupu, szły szerokiemi skokami wprost z legowiska na usłyszany głos, a że ujechałem przez ten czas kilkadziesiąt kroków, więc dopędzały mię z tyłu, ja zaś nie mogłem usłyszeć szelestu susów w miękkim śniegu z powodu tupotania konia po twardym szlaku i przeciągłego szmeru ślizgających się sań.

Nazajutrz rano, jadąc dalej, zawitałem do wioseczki Kozłowa, gdzie mieszkał dobry mój znajomy i częsty kompan w dzikich łowach, Spirydon.

Pijąc herbatę w rozległej izbie o niskim, uwędzonym na mahoń suficie, rozmawialiśmy o wszystkiem i niczem. Spirydon opowiadał o jesiennych polowaniach na bielaki i jarząbki, o podjeździe cietrzewi, który można było uprawiać przez pierwsze dwa tygodnie, zanim spadły śniegi tak głębokie, że przejazdu bez drogi nie było.

Ale wiesz paniczok co, — rzekł wreszcie Spirydon, — toż niedźwiedzia chłopi z „berłogi" wypędzili koło Studzińca zaraz po Nowym Roku. I poszedł on gdzieś przez Maksiucińskie bory, na Toropiecką granicę, a tam znowu słyszał ja, aż z Reczek Borys mnie mówił, że położył się on znowuż na mszarze koło Reczek, tam gdzie mech nie zamarza i przejść nie zawsze można. To oni obchodzili jego wkoło, i jakoby śladu precz nie było, ale zaraz śnieg spadł — tak i nie znaleźli.

Wiadomość ta zelektryzowała mnie w jednej chwili. Borysa z Reczek znałem, chociaż wioska ta była o 60 km od nas w głębi puszczy zagubiona, i wiedziałem, że stary myśliwy słów na wiatr puszczać nie lubił.

— No, Spirydon, jedziem do Reczek, będziem niedźwiedzia szukać — zawołałem.

—Tak cóż, można — odrzekł — roboty teraz niema, pojedziem.

W godzinę później wyruszyliśmy. Przejeżdżając tor kolei przy stacji Pustoszka, zakupiłem worek owsa dla swego siwosza i późno w nocy dotarliśmy do Reczek, położony już w Pskowskiej gubernji.

Stary Borys potwierdził wieści, podane mi przez Spirydona. Trop niedźwiedzia widział sam, prowadził na on mszar, leżący wokół Białego Jeziora i stamtąd nie wyszedł. Mszar niezbyt rozległy — 3 wiorsty szerokości na 4 długości, czyli około 1000 dziesięcin, ale mało dostępny w środku zimy, niezamarzający na licznych oparzeliskach, przedzielających rozsypane wokoło jeziora suche gęstwinowe wysepki.

„Ciapier jaho, panicz, nie najdziesz" — zakończył swój opis Borys.

Jakaś intuicja radziła mi jednak szczęścia próbować. Miałem nadzieję zwierza spędzić i tropić aż do ponownego miejsca położenia się. Borys zaziębiony i kaszlący pozostał w domu, ja zaś z wiernym Spirydonem wyruszyłem nazajutrz rano na Białozierski mech.

Mróz był silniejszy i trzymał cały dzień, tak, że chodzenie było idealne po zmarzniętej powłoce śnieżnej, a narty, proponowane mi przez starego, zupełnie zbyteczne.

Cały dzień, cudowny, bezwietrzny cichy dzień zeszedł na włóczędze po śnieżnym bezmiarze leśnym, na którym zwierz nie mógł się zatrzymać. W krótki bądź co bądź dzień zbadaliśmy takim sposobem cały południowy brzeg jeziora i część zachodnich wysepek.

Po ponownym noclegu u Borysa, wyszliśmy na godzinę przed wschodem słońca. Był to dzień 12 lutego starego stylu. Niezrównane piękno tego zimowego świtu, mającego w sobie już coś z barw i uroku wczesnej wiosny, pozostanie mi w pamięci na zawsze.

Dymy z kominów oszronionej wioski biły w ciemny jeszcze błękit zenitu, tkwiąc, jak nieruchome słupy w szklanem powietrzu, tak przeźroczem i dźwięcznem, jak chyba nigdy o żadnej porze dnia i roku.

Daleki trzask drzwi którejś chaty doszedł nas z oddali, już w lesie tak, jakbyśmy byli tuż obok, a skrzypienie śniegu na ulicy wioskowej słychać było przeszło o kilometr. Wspaniała jutrzenka rozpalała się coraz żywszym kolorytem, aż zapłonęły różowem światłem czuby drzew, zaśmiały się śmigające ku górze kolumny sosen, zajaśniały zielonem złotem strzępiaste czuby świerków.

Przeszliśmy w prostym kierunku na jezioro, po jego jednolitej tafli przedostaliśmy się na przeciwległy wschodni brzeg i zagłębiliśmy się w labirynt gęstwin trzcinowych i pokrytych olbrzymiemi świerkami oraz fantastycznemi wykrotami suchych wysepek.

Trafiliśmy na teren o wiele trudniejszy do zorjentowania się, niż miejsca, gdzieśmy chodzili w dzień poprzedni. Wierne słońce wskazywało nam wprawdzie ciągle kierunek świata, ale plątanina gęstwin uniemożliwiała określenie, gdzie się już było, a gdzie nie.

Zacząłem tracić nadzieję znalezienia legowiska niedźwiedzia. Południe nadeszło, śnieg w ciepłych promieniach puszczał już miejscami, utrudniając bardzo chodzenie, gdzieniegdzie też musieliśmy nakładać drogi, by mijać oparzeliska, dymiące przejrzystym oparem. Po krótkim wypoczynku poszliśmy znów dalej.

— No, do wieczora pochodzim, i dość będzie tego dobrego — rzekłem — wracamy.

— I pewno, — odrzekł Spirydon, czort jego tu znajdzie na takiem paskudnem błocie.

Nadeszła jednak chwila...

Szliśmy właśnie pomiędzy dwoma wyspami, porosłemi suchym, czystym borem. Błoto nie było gęste, a że zarosłe przeważnie brzeziną i rzadką sosną, więc widać było dość daleko. Słońce, nisko już nawisłe nad horyzontem, miałem nawprost siebie, przeglądające przez czuby świerków na gęstym ostrowie, ku któremu kierowaliśmy swe kroki.

W pewnym momencie spostrzegłem opar nad moczarem przed sobą. Nie widać było mgły właściwej, ani siwego niby dymu, ale w promieniach słońca powietrze wibrowało i falowało na podobieństwo tego, co widzieliśmy na wiosnę lub po deszczu nad parującemi polami, gdzie ruch drgającego powietrza przesłania i zmienia kształt przedmiotów.

Syknąłem na Spirydona, a gdy na mój znak pocichu zbliżył się do mnie, wskazałem na dziwne zjawisko.

— Tuman od błota — odrzekł mój towarzysz.

— Nie, — szepnąłem w odpowiedzi — to nie może być od błota, tu wszędzie zamarzło, ruczaju ani źródeł niema, to zwierz leży i od niego dymi na mrozie. Ot, Spirydon, ty pójdziesz prawą stroną, brzegiem ostrowu, aż do tamtych wysokich świerków, a ja lewą i stanę naprzeciwko, a ty potem na mnie ruszysz przez tę mgłę.

Tak też zrobiliśmy. Sciszając wedle możności kroki, wzięliśmy podejrzane miejsce niby w widły. Gdy przypuszczalne miejsce oparu, który teraz nie był widoczny, znalazło się naprzeciwko wskazanych Spirydonowi świerków, zatrzymałem się, a sprawdziwszy raz jeszcze ładunki w trójlufce, odwiodłem kurki i czekałem.

Nie przeszło chyba dziesięć minut, gdy raptem zabrzmiał przeraźliwy, na wysoką nutę z emocji podjęty krzyk Spirydona: — Pilnuj! paszoł, paszoł!

Tak jak stałem, przypadłem w śnieg za wielką kępę mchu, którą miałem przed sobą, gdyż obawiałem się stać na miejscu stosunkowo otwartem, i zamarłem w oczekiwaniu.

Serce, jak młot waliło w piersi, podchodząc aż do gardła, od schylenia i naprężenia szyi w wysokim kołnierzu zielone iskry pryskały przed oczyma...

Jeszcze chwila i wytężony słuch ulowił trzask i szelest śniegu przy prędkim biegu zwierza. Ostre susy zbliżały się coraz bardziej, mijając mię niby od lewego boku.

Ze strzelbą przy ramieniu podniosłem się nagłym ruchem na równe nogi i w tym samym momencie ujrzałem niedźwiedzia, sadzącego mocnemi susami pomiędzy kępami mszarnemi o 15 kroków odemnie.

Ostro ruszała się łopatka pod gęstemi kudłami. Zwierz spostrzegł mój ruch, zwrócił łeb i spłaszczywszy uszy, przyśpieszył jeszcze biegu. Lecz oto muszka oparła się o początek wyciągniętej szyi, huknął strzał i niedźwiedź trafiony na niską łopatkę w chwili ściągnięcia łap, wywrócił młynka, jak zając i tarzać się zaczął, charcząc i wzbijając śnieg uderzeniami łap.

Z palcem na cynglu podszedłem bliżej. Coraz wolniejsze były ruchy dogorywającego zwierza, z otwartego pyska pryskała posoka, czerwieniąc biel śnieżną.

Zastygł wreszcie nieruchomo. Nadbiegl Spirydon i przewróciliśmy zdobycz na wznak, a potem brzuchem na dół, aby obejrzeć postrzał i futro. Niedźwiedź nie był wielki, a przytem wychudzony przez uprzednią włóczęgę, tak, że waga nie przekraczała jakichś 120 kg.

Słońce już zaszło, gdyśmy przywiązali łup do żerdzi brzozowej, wzięliśmy na plecy i krok za krokiem ruszyliśmy z powrotem ku wsi po skamieniałej powierzchni śnieżnej. Ciężka, ale radosna była droga. Późny zmierzch zasnuł świat szafirowym welonem, a tęskny, rumiany zachód rzucał fioletowe refleksy na śnieżną taflę jeziora, którą przecinaliśmy na ukos. Coraz więcej srebrnych błysków zapalało się w bezdennej otchłani nieba, jakby jakiś niewidzialny zakrystjan krzesał światło na olbrzymim ołtarzu ciemniejącego kościółka i jedna świeca po drugiej rzucała w ciemnię swe mrugające powitanie.

A potem gdyśmy już wyszli z lasu, księżyc wytoczył się nad istniejącą za błotami puszczę, obcięty już z jednej strony, różowo-żółty, i bielał wciąż, pnąc się szybko ku górze, zalewając seledynowem światłem dalekie zwodne cienie nocy.

Po ciężkich dwudniowych trudach, uwieńczonych pięknym rezultatem, wabiła nas rozkosznym odpoczynkiem szeroka ława pod obrazami w kącie chaty, nęcący zapach kapuśnika łechtał podniebienie, a wysoko nasłane białe poduszki na łożu za zasłoną obiecywały spokój nocny dla zmęczonego ciała.



Generał WALERY MARYAŃSKI

Wpływ niskiej temperatury na działanie bezdymnych prochów śrutowych

w świetle najnowszych prób i doświadczeń

Kwestja działania bardzo niskiej temperatury na działanie bezdymnych prochów wogóle — zaprząta nie bez powodu uwagę myśliwych i strzelców, albowiem nie ulega wątpliwości, że wszystkie bez wyjątku bezdymne prochy, oparte na procesie nitrowania — są na zimno do pewnego stopnia wrażliwe i chyżość początkowa, jaką one w oziębionym stanie nadają pociskom, jest istotnie nieco mniejsza, niż przy strzałach nabojami, mającemi normalną temperaturę (około — C⁰).

Ogół myśliwych i strzelców przypisuje jednak zimnu za duży wpływ na strzały bezdymnym prochem i to twierdzenie trzeba do właściwej miary zredukować.

W niniejszej pracy będę omawiał tylko wpływ temperatury na strzał śrutowy — bo na ten temat toczy się ciągle bardzo intensywna dyskusja — a oprę się w moich wywodach na próbach, przeprowadzonych w Stacji Badań Balistycznych P. W. P. w Pionkach w zimie 1934/35.

Przeprowadzono je w następujący sposób: zrobiono z największą dokładnością pewną ilość nabojów, używając z naszych krajowych prochów, prochu: „Sokół", „Łoś" i „Kuropatwa" — zaś z zagranicznych niemiecki „Rottweil". Połowę tych nabojów wystawiono na 24 godziny na działanie temperatury — 23⁰ C.

Temi zamrożonemi nabojami wystrzelono pewną ilość serji — każda po 5 strzałów — zmierzono chyżość każdego strzału w 15 metrze (V_{15}) a po wyeliminowaniu strzałów „dzikich", wzięto przeciętną wartość chyżości V_{15}. Aby zapobiec ogrzaniu nabojów przez wkładanie ich do ciepłej od strzałów lufy, poddano tę ostatnią ochłodzeniu, oddając pojedyńcze strzały w 10 minutowych pauzach.

W analogiczny sposób wypośrodkowano przeciętną siłę przebicia, strzelając na 35 m (50 kroków) do szeregu tekturek, 1 mm grubych — ustawionych jedna za drugą w odległości 1 cm — a wkońcu zbadano pokrycie 75 cm tarczy, podając procent ziaren, znalezionych wewnątrz koła.

Drugą połowę nabojów ogrzano w termostacie do temperatury + 15⁰ C i wystrzelono identyczną ilość serji, co przedtem — z tą różnicą, że nie zachowywano już między pojedyńczemi strzałami 10 minutowych pauz.

Rezultaty tych prób podaje następująca tabela.

Kaliber 12-ty — śrut: 3·5 *mm* (Nr. 2)

Nabój, gatunek łuski, spłonka	Gatunek i ilość prochu	Ilość śrutu	— 23⁰ *C*			+ 15⁰ *C*		
			Przeciętna chyżość w 15. metrze V_{15}	Liczba kartonów, przebitych 5-ma strzałami	Procent śrutów w 75 *cm* tarczy	Przeciętna chyżość w 15. metrze V_{15}	Liczba kartonów, przebitych 5-ma strzałami	Procent śrutów w 75 *cm* tarczy
Darzbór Pocisk Sinoxid	„Łoś" 2·1 *gr*	32 *gr*	28[illegible]·8 m/sek.	67	70·8 %	298·5 m/sek.	69	58·5 %
W. Sp. M. Sinoxid	„Kuropatwa" 2·1 *gr*	32 *gr*	281·0 m/sek.	71	73·1 %	293·7 m/sek.	75	75·4 %
W. F. A. Sinoxid	„Sokół" 2·2 *gr*	32 *gr*	290·7 m/sek.	75	71·5 %	305·4 m/sek.	75	68·5 %
W. F. A. Sinoxid	Rottweil 2·2 *gr*	32 *gr*	276·9 m/sek.	67	73·1 %	289·4 m/sek.	75	69·2 %

Uwaga: Liczbę kartonów, przebitych 5-ma strzałami, oblicza się w następujący sposób:

np. przy użyciu prochu Rottweil było przebitych najmniej 3-ma śrutami:

przy 1. strzale: 14 kartonów
„ 2. „ 16 „
„ 3. „ 14 „
„ 4. „ 16 „
„ 5. „ 15 „

Suma z 5-ciu strzałów: 75 kartonów

Grubość kartonu: 1 mm; kartony ustawione za sobą w odstępach 1 cm.

Porównując cyfry tej tabeli, widzimy najpierw, że:

a) różnica chyżości śrutów przy nabojach zamrożonych a ogrzanych, wynosi w 15 metrze ledwie kilkanaście metrów na sekundę, wahając się między 11,7 m/sec. a 14,7 m/sec. — co wynosi około 5% V_{15};

b) zdolność przebicia.

Spadek chyżości śrutów, wywołany zamrożeniem, nie ma w praktyce prawie żadnego wpływu na przebicie kartonów.

Widzimy bowiem, że np. proch „Sokół", mimo spadku chyżości o 14,7 m/sec przebija w zamrożonym stanie tę

samą ilość kartonów, co w ogrzanym stanie, t. j. 75 kartonów.

Proch „Kuropatwa" wykazuje na serję z 5-ciu strzałów różnicę tylko 4 kartonów, „Łoś" zaś ledwie 2 kartonów.

Tylko Rottweil wykazuje różnicę przy całej serji 8 kartonów; przypuszczam, że przy fabrykacji tego prochu przeznaczonego w pierwszej linji na Niemcy, nie liczono się z temperaturą — 23° C, bo tam taka temperatura raczej do wyjątków należy — podczas gdy w Polsce prawie każdy sezon zimowy myśliwski, szczególnie w północno-wschodniej części naszego Państwa — ma serję tak zimnych dni.

Dlatego fabryki nasze — a szczególnie P. W. P. w Pionkach — zadają sobie dużo wysiłku w kierunku uodpornienia naszych prochów na niskie temperatury.

Jednak te wszystkie różnice są wedle mego zdania minimalne i w praktyce bez znaczenia — jeśli weźmiemy pod uwagę drobinę energji, potrzebną do przebicia jednego kartonu; każdy laik wyczuje, jak minimalną jest różnica w działaniu na organizm zwierza przy strzale na mrozie, względnie przy normalnej temperaturze.

Zwyż opisane próby prowadzono nie tylko u nas, lecz także i w Niemczech. Zadowalniano się jednak zamrożeniem do — 12° C. Rezultaty tam osiągnięte, są zbliżone do naszych.

* * *

Możemy więc na podstawie tych prób najzupełniej objektywnie ustalić fakt, że przypisywanie mrozom tak dużego wpływu na działanie bezdymnych prochów — a specjalnie narzekanie przy każdem „pudle" na naszą, krajową amunicję — jest bezpodstawne — oparte raczej na konserwatywnem przyzwyczajeniu do dawnych prochów — a wygodne o tyle, że pozwala każdy chybiony strzał lub postrzał przypisywać działaniu mrozów.

Rację miał pewien dowcipny myśliwy, który przysłuchując się zajadłej dyskusji na temat amunicji, prochów i t. d. — mruknął pod wąsem: „Hm! Jak się to czasy zmieniają! Dawniej chybiali myśliwi — dziś... tylko naboje".

Kończę co prędzej niniejszy artykuł, bo łapię się, że zaczynam znowu wpadać w polemikę na temat nabojów, a ta jest zamknięta!



WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

Ciąg dalszy.

XIII.

PIEŚNI BEZ NUT

Niejednokrotnie spotykamy takie utwory poetyckie, które mają nazwę i charakter pieśni, a przecież nigdy melodji nie posiadały, spotykamy i takie, które melodję z biegiem czasu zagubiły, najczęściej bezpowrotnie. Tak np. Kozłowski przytacza tekst pieśni, śpiewanej podobno ongiś, nie wiadomo, na jaką melodję, przez myśliwych, na łowy wyruszających[1]). Podam ją tu w całości, gdyż jest to rodzaj apoteozy myślistwa:

Już światło na wschodzie błyska,
Nikną blade nocy cienie,
Teraz spieszą z legowiska
Zwierza[2]) odwiedzać strumienie.

Myśliwy, nie tracąc czasu,
Rzuca siedlisko spokojne
I spieszy w knieję, do lasu,
Wydać walną zwierzom wojnę.

Syn prawy lubej ojczyzny,
Przywykły do trudów boju,
W wojnie nie pomni na blizny,
A bory kocha w pokoju.

Nie uważa na dnia słoty,
Choć burza i wicher wyje,
Poluje pełen ochoty,
Póki zwierza nie ubije.

Myśliwca mieszkanie bory,
W nich szczęście swoje znajduje,
Wolny, jak orzeł przez góry
I doliny przelatuje.

Powietrzem świeżem oddycha,
Przy zdrowiu pędzi swe lata,
Spokojny, zdala nie wzdycha
Do zgiełku wielkiego świata.

Najprzyjemniej jest mu w lesie,
Na niewygody nie zważa,
Nietylko śmierć zwierzom niesie,
Lecz się też na nię naraża.

A gdy sprawiedliwej wojny
Zawieje sztandar zwycięstwa,
Gotowy myśliwy zbrojny
Dać w szeregach dowód męstwa.

Za hasłem myśliwych rogu,
Kryty w zielonej odzieży,
Oddawszy los wojny Bogu,
Na pole sławy pobieży.

Szytler w swym „Poradniku dla myśliwych" umieszcza dwie „pieśni", być może jego własne utwory, o których melodji nic nie wiemy. Jedna jest wezwaniem do łowów, druga opiewa ich zakończenie. Pierwszą powtarzam,

[1]) Kozłowski Wiktor, Pierwsze początki terminologji łowieckiej, Warszawa 1822, str. 140, w ustępie, poświęconym opisaniu dawnych łowów.

[2]) Zwierza, zamiast zwierzęta.

gdyż odzwierciedla nieźle nastrój myśliwski i posługuje się swoistą nomenklaturą i obrazowością. Tytuł jej „Pieśń myśliwska"[3]).

Hej bracia! raźno, wesoło,
Rzućcie sen jałowy!
Zbierajcie się w liczne koło,
Pójdziemy na łowy!

Już ranna jutrzenka wschodzi,
Czas więc trudy dźwigać —
Zwierz w lasach swawolnie brodzi,
Pośpieszmy go ścigać!

Gończe, charty i ogary
Gniewem już pałają,
Posforowane do pary
Ochotnie szczekają.

Osiodłane rącze konie
Biją kopytami,
Drżą z radości na pogonie,
Do walk z zwierzętami.

Każdy się z myśliwych zrywa,
Myśli o zdobyczy,
Burką ramiona okrywa,
Przyszłe plony liczy.

Biorą strzelby dubeltowe,
Z nabojami pasy,
Dalej torby borsukowe,
Ostre kordelasy.

Wzięli i zapas żywności
Wędlinę i grzanki,
A dla nabrania rzeźwości
Z wódką oplatanki.

Stanęli do koła śmiele,
Całe grono wrzasło,
A wtem łowczy na ich czele
Podał trąbką hasło.

Zadrżało powietrze śpiewem,
Wiwat polowanie!
Każdy się rozjątrzał gniewem
Na zwierząt spotkanie.

Ruszyła czereda tłumna
Przez lasy i bory,
Bronią straszna, wrzawą szumna,
Za nią zjadłe sfory.

Ostąpili wszystkie knieje
I w myśliwskim szyku
Każdy się radośnie śmieje,
Stojąc na przesmyku.

Heżha! hau, hau! porusz, hajda!
Wrzaski się obiły,
Utrop, Łowisz, Wietrka, Znajda,
Zwierza wytropiły.

Spłoszony, drżący w obawie,
Zając jak cień miga,
Śmierć mu grozi w tej wyprawie,
Bo tuż psiarnia ściga.

Tu znowu lis chytry, skrętny,
Łudzi psów wybiegiem,
Chociaż zwodzić umiejętny,
Zmordował się biegiem.

Ten i ów pragnie zdobyczy,
Skrada się, przysiada,
Wtem ktoś strzelił — „Pilnuj!" — krzyczy,
Paf! Puf! zając pada.

Tu i ówdzie krok swój snuje,
Okrążył las cały,
Lecz wszędzie odpór znajduje,
Zewsząd grożą strzały!

Nareszcie błędny, zwiklany,
Mimo swej zwinności,
Pada, własną krwią oblany,
Ofiarą srogości.

Dzik, czy jeleń, wszystko pada,
Strzelcy biorą plony,
Żaden wybieg się nie nada,
Zwierz nie ma obrony.

Lecz już słońce się podniosło,
Trąbka się odzywa —
Każdy rzuca swe rzemiosło
I psy nawoływa.

Usiadłszy w wesołem gronie,
Psom odprawę dają,
Radość w każdem oku płonie,
Śmieją się, igrają.

Strzelec do trudów nawyknął,
Niesmaków nie czuje,
Każdy z oplatanki łyknął,
Szynkę repetuje.

Gdy się dobrze posilili,
Czując już szum w głowach,
Z plonem do domu wrócili,
Lecz tęskniąc po łowach.

Z drugiej, znacznie słabszej, podanej przez Szytlera, a mającej tytuł „Piosnka po łowach[4]), przytoczę tylko trzy pierwsze zwrotki:

Otóż łowy się skończyły,
Bracia! w jednem gronie
Niech każdy pokrzepi siły,
Trunkiem skrasi skronie.

Niech trąby zawarczą głośne!
Pieski! do gromady!
Zewsząd okrzyki radośne
Myśliwskiej biesiady!

Tu się toczy miodek stary,
Tam naliwki (sic) zdrowe,
Każdy duszkiem spełnia czary,
Zwierząt pogrzebowe.

Resztę, zawierającą jeszcze 12 zwrotek, pomijam, jako niezbyt udaną. Należy tu np. takie wynurzenie:

Ja zaniosę mojej żonie
Cietrzewie i głuszce,
Za to spocznę przy jej łonie
Na miękkiej poduszce.

W „Drobnych pismach poetyckich" Wiktoryna Zielińskiego znachodzimy następującą, sympatyczną „Piosenkę myśliwską"[5]).

Hej! myśliwcze, hej! gajowy,
Niechaj żyją knieje, łowy!
    Nuże razem w głośny chór:
Vivat nasza myśl swobodna
I zabawa mężów godna
    I szlachecki biały dwór!

[3]) Szytler Jan, Poradnik dla myśliwych, Wilno, 1839, str. 61.

[4]) Poradnik j. w., str. 224.

[5]) Warszawa, 1842, str. 38.

Niechaj żyje wieś spokojna
I piosenka z sercem strojna,
Celna strzelba, żartki koń:
I dziewica, czarownica,
Złotowłosa, krasnolica,
Modre oczy, biała dłoń!

Hej! myśliwcze, hej! gajowy,
Już skończone nasze łowy,
Nuż w donośny, znany róg!
Aż usłyszy tam dziewczyna
I wyleci jak ptaszyna,
Na zielony, kwietny smug.

Sporo musiało być takich pieśni i tym podobnych utworów, może nieraz przygodnych, może i popularnych w tych i owych okolicach kraju. St. Krzyżanowski, autor noweli p. tyt. „Tydzień z czasów kapiszonowych“[6]) opowiada, jak to myśliwi, wyruszając na łowy, śpiewali na nutę poloneza:

„Czas, czas, hejże w pole
„Dalej żywo...

Że bywały utwory o charakterze regjonalnym, utwory, nie dochodzące często do wiadomości ogółu, gdyż nie były publikowane, dowodzi list, który mam przed sobą, pisany przez p. Z. Malczewskiego do redakcji „Łowca“ w r. 1878[7]). Autor listu przysyła do dyspozycji redakcji tekst pieśni, ułożonej przez Konstantego Zakrzewskiego i dodaje następujące objaśnienie:

„Pieśń rozeszła się przed dwudziestu laty w kaliskiem, stamtąd w poznańskie, i dalej, w Prusy. Śpiewają ją z ochotą myśliwi, budząc się rano, wśród zimna, na łowach i wieczorami, pojedyńcze ustępy, lub całość. Autor pieśni, Konstanty Zakrzewski był ongi właścicielem ziemskim w kaliskiem, bardzo szanowanym obywatelem, lubiącym literaturę. Podobno pracuje umysłowo, ale nic nie drukuje i mieszka obecnie w Dreźnie. Możeby dobrze było zachęcić tak zacnego męża do wydania drukiem prac jego ważniejszych?“

Redakcja „Łowca“ nie wydrukowała jednak nadesłanej pieśni. Jakkolwiek bowiem i język jej był poprawny i myśli zawierała piękne, treść była za mało „myśliwska“. — Przytoczę tylko urywki:

Niechaj drży niewieściuch sprośny
Gdy go luty wiatr owieje,
Niech za piecem krew swą grzeje,
Lub jak niedźwiedź śpi do wiosny.

— — — — — — — — — —

A nas zaraz niech od rana
Wilka tropem ,wiatru torem,
Lśniącem błoniem, ciemnym borem,
Niesie „Kirgiz“ i „Bułana“.

— — — — — — — — — —

Zaś wieczorem, po biesiadzie,
Gdy nam cudna pieśń zadzwoni,
Niech myśl nasza wtedy goni
Przeszłość po utartym śladzie...

Nawiasowo wreszcie wspomnę o autorze pieśni, podkładanych pod rozmaite popularne melodje operowe i operetkowe, Józefie Winhardzie[8]). Jeżeli można się w tych bardzo słabych utworach dopatrzeć jakiej wartości, to tej chyba, że zawierają niejedno wspomnienie z prawdziwego przeżycia i są pamiątką sui generis z przeszłości Towarzystwa św. Huberta we Lwowie. C. d. n.

[6]) Kalendarz myśliwski Ill., Warszawa 1913, str. 81.
[7]) Z. Skarbek Malczewski, Jabłowo p. Starogard, w Prusiech zachodnich.

[8]) Windhard Józef, Zbiór pieśni łowieckich, pisanych na tle trawestji słów i melodji refrenów z oper i operetek znanych, z 12 winietami, nakładem autora, Lwów (b. daty). Dedykacja: Moim druhom szanownego Towarzystwa łowieckiego im. św. Huberta we Lwowie, poświęcam na pamiątkę.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

Poezja niefortunnych łowów

(Dokończenie)

Smutny był dla mnie powrót do Łohojska, a jeszcze smutniejszy obiad. Humorów nie było, choć przy stole krążyły kielichy z tak cenną w epoce prohibicji „młodą starką“. („Młoda starka“ nie jest pojęciem sprzecznem z logiką, lecz poprostu oznacza dziesięcio lub piętnastoletnią starkę). Wprawdzie większość gości udobruchała się nieco po piątej, czy szóstej kolejce (zwłaszcza zacny amfitrjon pan Cybulski spoglądał na mnie z życzliwem współczuciem), lecz okrutny i sangwiniczny pan Staroniewicz nie uspakajał się. Z peror jego wynikało, że moja



wyprawa na łosia była w samym zarodku skazana na niepowodzenie: że musiałem mieć sztucer (sam miał dubeltówkę...), a w ostateczności wziąwszy dubeltówkę, powinienem był wziąć nie żaakny, które są do niczego, lecz „breneki“; że nie miałem prawa strzelać wogóle na sztych, lecz poczekać, aż łoś będzie mnie mijał i wtedy strzelać na komorę, a w ostateczności skoro już zdecydowałem się strzelać na sztych, trzeba było mierzyć w pierś, bo kula z gładkiej lufy często od łba odskakuje, że...

Po dziesiątej czy dwunastej kolejce poczciwy pan Cybulski rozkrochmalił się ostatecznie i w porę przypomniał sobie, że wszak dzisiaj nie ja jeden pudłowałem:

— Napadacie wszyscy na pana Michała, a przecie to młody myśliwy: po raz pierwszy w życiu strzelał do łosia i miał prawo pogorączkować się. Ale pan, panie Kandyba, stary myśliwy i żeby tak haniebnie sfuszerować...

Pan Kandyba mruknął coś niewyraźnie pod wąsem i milczkiem wychylił kieliszek. Odetchnąłem. Pan Staroniewicz zapomniał na chwilę o mnie i skierował zaczerwienione (zapewne od gniewu) spojrzenie na pana Kandybę:

— Rzeczywiście, panie Kandyba...

Mogłem przestać być figurą centralną i kozłem ofiarnym, oddając tę rolę panu Kandybie, mogłem zupełnie uniknąć dnia tego drwin i peror, gdybym nie palnął głupstwa, pytając ni z tego ni z owego:

— Łoś szedł wprost na mnie. A coby się stało, gdybym nie strzelił? Czy wogóle łoś rzuca się na ludzi?

— Łoś nie rzuca się na ludzi, lecz nigdy nie zbacza z drogi — zdeptałby pana jak amen w pacierzu...

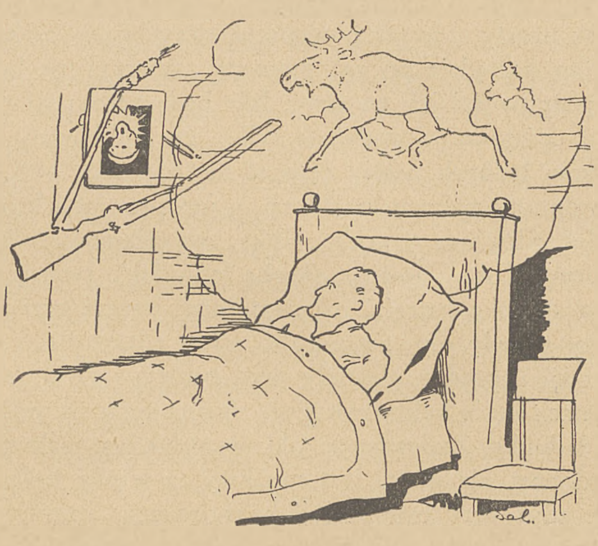
Spojrzałem niedowierzająco na obecnych. Odpowiedział mi grzmot śmiechu. Najgłośniej śmiał się pan Kandyba. Narazie nierozumiałem o co chodzi. Wytłumaczył mi to p. Staroniewicz, mówiąc tonem znaczącym:

— Ach, więc to dlatego pan spudłowałeś...

Była to w tym dniu chwila może straszniejsza, niż pudło do łosia. Zrozumiałem, że prócz opinji pudlarza, doczepiono mi opinję tchórza...

* * *

Wieczorem zachmurzyło się, nastała noc tak ciemna, że gościnni gospodarze nie wypuścili nas dnia tego z Łohojska. Zanocowaliśmy więc by nazajutrz wyruszyć o świcie. Jak zwykle w takich wypadkach świt przeciągnął się do południa. Nie było to dla mnie wesołe przedpołudnie. Dręczenie pudlarza i fuszera trwało w dalszym ciągu,



przyczem w dręczeniu tem celował — rzecz dziwna — tak dobrotliwie i sympatycznie usposobiony wczoraj do mnie pan Cybulski.

Zaczął opowiadać, jak to na wszelki wypadek kazał wczoraj leśnikom tropić łosia, jak to po paru wiorstach tropienia leśnicy natrafili na ślady farby, jak to po dalszych dwu wiorstach znaleźli wreszcie łosia — martwego.

— Wyobraźcie sobie panowie, — mówił pan Cybulski, że pierwsza kula p. Michała odłupała łosiowi kawałek rogu... Strzał był zgórowany... A druga kula ugrzęzła mu tuż pod krzyżem... Leżał sobie we wrzosach, a pokurcz siedział z wywieszonym jęzorem i szczekał. Właśnie to szczekanie nakierowało leśników, gdyż na suchym borze ślady były już niewyraźne...

Pan Cybulski musiał być urodzonym aktorem. Opowiadał tak plastycznie, że poprostu widziałem tę scenę: łoś leżący na boku ze sterczącemi z wrzosowiska rosochami, a obok — zziajany i szczekający pokurcz.

Odezwał się pan Staroniewicz:

— Rozmawiałem właśnie z panem Cybulskim, w jaki sposób mamy rozdzielić trofea. Gdybyś pan zabił łosia na miejscu, dostałbyś pan staropolskim obyczajem i rogi i skórę i mięso. Ponieważ jednak łoś przeszedł jeszcze spory kawał, więc mięso dostaną leśnicy... Za trudy... Pan otrzymasz rogi, a skórę — pan Kandyba...

— Więc pan Kandyba też trafił? — spytałem.

Na moje niewinne pytanie dręczyciele zacięli się na sekundę, gdyż nie byli na to pytanie przygotowani. To wystarczyło bym zrozumiał, że historja znalezienia ubitego łosia jest tylko jednym z punktów ukartowanego zgóry programu naigrawania się ze mnie.

* * *

Na bryczce w drodze powrotnej do Mińska, Henio R., dotychczas po przyjacielsku i dyplomatycznie powściągliwy, rzucił:

— A wiesz, że to był czternastak...

— Przeliczyłeś odnogi?! — spytałem ostro.

— Nie, nie przeliczyłem, ale tak mi się wydawało.

— Jeżeli tak ci się wydawało, to jesteś dureń.

Henio obraził się i jakąś godzinę trzęśliśmy się na bryczce w milczeniu. Pierwszy odezwał się Henio:

— A wiesz, że niepotrzebnie wyrwałeś się z tem pytaniem, czy łoś napada na ludzi. Teraz będą opowiadali, że jesteś tchórzem.

Nic nie odpowiedziałem. Słowa Henia potwierdziły tylko moje obawy: robiono ze mnie tchórza. Prawie do końca długiej podróży siedziałem milczący i osowiały, przeżuwając gorzką, jakże bardzo gorzką żółć ludzkiego okrucieństwa.

* * *

Mój łoś spudłowany, był w światku mińskim tematem rozmów i plotek w ciągu pół roku. Krążyły najrozmaitsze wersje historji mego niefortunnego spotkania z łosiem. — Najwięcej rozpowszechniano wersję, którą można było streścić w tych wyrazach: „zobaczył łosia po raz pierwszy w życiu, przeraził się i spudłował, choć strzelał jak do kopy siana". Ludzie mało znajomi i niemyśliwi zatrzymywali mię na ulicy i pytali: „jak to było naprawdę z tym łosiem"?

Potem potoczyły się zdarzenia wielkiej i ogólnej wagi. Zdarzenia te sprawiły, że o łosiu moim zapomniano. Front wojenny zbliżył się do Mińska i legł groźnym tajemniczym murem na dwa i pół lata... Nastała rewolucja marcowa, potem Kiereńszczyzna, potem bolszewizm, potem okupacja niemiecka, znów bolszewizm i wreszcie jedenaście miesięcy polskiego panowania w Mińszczyźnie... Potem przyszedł traktat ryski: trudno było wymagać od ówczesnych dyplomatów naszych, by o łosiach pamiętali... Gorzej, że w krótkowzroczności małych, lękliwych duszyczek zapomnieli o owych niezmierzonych bogactwach

puszcz łohojskich, turowskich, berezyńskich i wielu, wielu innych... Jeszcze gorzej, że zapomnieli o mnogich dziesiątkach tysięcy twardej, dzielnej szlachty zagrodowej, mówiącej i myślącej po polsku, o dziesiątkach tysięcy panów Kandybów, Huszczów, Tumiłowiczów, Michniewiczów i wielu, wielu innych, odrzuconych z lekkiem sercem za kordon na żer najstraszliwszego z zaborców.

* * *

Dziś w dwudziestąpierwszą rocznicę moich niefortunnych łowów na łosia — wspominam ten wypadek bez goryczy i żalu. Gdybym wtedy nie spudłował, dostałbym piękne rogi, które prawdopodobnie przepadłyby u bolszewików razem z tylu innemi rzeczami — cennemi i pamiątkowemi. Dziś — miast martwego trofeum na ścianie, mam w duszy jedno z najmilszych wspomnień myśliwskich. Słodyczy tego wspomnienia nie zdoła zatruć jałowa już dziś tęsknota do utraconych stron rodzinnych. — Myśliwy jest stworzeniem, które się łatwo przystosowuje do najgorszych nawet warunków. Myśliwemu dużo nie trzeba, by żyć myśliwską radością... Dziś przymykam oczy i widzę ów „obrazek weyssenhoffowski": łosia migającego miarowo białemi nogami ku stanowisku pana Kandyby. Przeżywam w najdrobniejszych detalach te kilka sekund rozkoszy wzrokowej...

Mój łoś żyje... I żyje może nie tylko „duchowo" na łamach Jednodniówki Łowieckiej... Bo — kto wie, co się później stało z jego fizyczną powłoką? — Może legł z ręki legalnego myśliwego; może ustrzelił go kłusownik; może niezwykle śnieżną i ostrą zimą 1917 r. otoczyły go i pożarły wilki; może w okresie „swobody" padł pod ciosami chłopskich wideł; może zginął w czasie rykowiska w pojedynku z groźnym rywalem: — kto wie?... Może żyje jednak — sędziwy i groźny samotnik — i, nosząc na łbie potwornym jakiejś potwornej wielkości łopaty, snuje się po dziś dzień po borach łohojskich... kto wie...



ALFRED SANDER

Kilka uwag w sprawie rekonstrukcji ładunków

(Ciąg dalszy)

Dziś już wiedzą chyba wszyscy, że proch bezdymny trzeba ważyć, a nie mierzyć, gdyż łuskowata jego forma sprawia, że się w miarce źle układa, wskutek czego pojedyńcze porcje tylko odmierzone, nie są między sobą równe co do wagi. Wprawdzie te różnice nie są tak znaczne, by to mogło grozić rozerwaniem broni, zwłaszcza przy dzisiejszych udoskonalonych prochach bezdymnych, w którym zdołano odjąć skłonność do t. zw. detonacyj, niemniej powodują one niemiłe różnice kopnięć wstecznych, a oczywiście także nierówność oddziaływania poszczególnych strzałów na zwierzynę.

Skoro zatem przerabiając naboje chcemy zastąpić sobie niemi naboje fabryczne, maszynowo dokładnie prochem napełniane, to musimy także proch ważyć i to możliwie najdokładniej. I zwrócę tu jeszcze uwagę na to, że gwoli dokładności ważenia, trzeba koniecznie czułe ważki zawieszać na jakimś słabym punkcie oparcia. Jeżeli zatem zakupimy ważki bez postumentu (ważki z postumentem są znacznie droższe) to musimy sobie sami jakiś choćby prymitywny postument sporządzić lub też zaczepiać ważki przy pomocy odpowiednio długiego drutu np. na wiszącej lampie, a to tak, aby zrównoważone szalki ważek znajdowały się 5 do 6 cm ponad stołem, na którym zamierzamy elaborować naboje. Mówię o tem dlatego, bo widziałem i takich „fabrykantów", którzy odważając proch, trzymali ważki poprostu w palcach lewej ręki, a prawą ręką dosypywali proch na szalkę. Nie wierzę, aby można w ten sposób, zwłaszcza gdy się robi więcej ładunków naraz, proch równo odważyć, bo zmęczenie i zniecierpliwienie z pewnością sprawią, że po kilku takich zabiegach odważanie będzie się odbywało więcej „na oko".

Najważniejszym czynnikiem upodobnienia nabojów przerobionych do nabojów nowych, jest ponowne kalibrowanie nabojów przerobionych, mianowicie tych, co do których sprawdzimy, że wchodzą zbyt ciasno do komory broni. Właśnie to kalibrowanie nabojów przerobionych jest zabiegiem, co do którego na początku artykułu powiedziałem, że on nie jest znany wielu myśliwym, nawet przerabiającym naboje. Kalibrowanie polega na przepchaniu gotowego po przeróbce naboju przez okrągły otwór o średnicy o kilka linij czyli dziesiątek milimetra mniejszej, niż średnica broni. Oczywiście, że przyrząd taki może mieć różne kształty i ulepszenia, ale najprostszą jego formą jest narzędzie, które dostać można we wszystkich lepszych handlach broni, a które ma wygląd śmigła, gdzie w punkcie, gdzieby się to śmigło miało na osi obracać, wywiercono okrągły otwór, odpowiadający różnym kalibrom broni, lecz zawsze o nieco mniejszej średnicy niż odnośny kaliber. Sposób użycia takiego kalibrownika jest tak prosty i, że tak powiem, w oczy bijący, że każdy który to narzędzie po raz pierwszy zobaczy, nie będzie miał wątpliwości jak go użyć. Nie będę przeto tej manipulacji opisywać, a podniosę tylko, że poddawany kalibrowaniu ładunek należy opierać nie o twardy stół, lecz o przedmioty półtwarde, jak np. o nieoprawioną książkę, kawałek filcu lub o poduszeczkę, wypełnioną szczelnie piaskiem. Cisnąc bowiem stopką ładunku o twardy stół, można spłonką natrafić na jakiś inny jeszcze przedmiot drobny twardy, np. na ziarnko śrutu rozsypanego przy elaboracji nabojów, a wtedy przy nagłem i gwałtowniejszem naciśnięciu kalibrownikiem, można spowodować wybuch ładunku. Zapewne, że taki wypadek jest mało prawdopodobny, nie mniej jest możliwy, a wtedy byłby fatalny, gdyż przy manipulacji kalibrowania, przybieramy mimowoli taką pozycję ciała, że jesteśmy twarzą nachyleni nad kalibrowanym nabojem. Ale i wtedy, gdy ładunek opieramy jego drugim końcem, co się dzieje wówczas, gdy kalibrownik chcemy zdjąć z naboju, jest lepiej opierać go o przedmioty półtwarde, cisnąc bowiem zakarbowanym końcem naboju o stół deformujemy, a raczej jeszcze raz niepotrzebnie zwiotczamy zakarbowany kraj łuski, od sztywności której w tem właśnie miejscu zależy ostrość strzału.

Dodam jeszcze, że kalibrownik, który ma nam oddać dobre usługi, nie może się dawać zepchnąć aż na samą stop-

kę łuski, lecz właśnie powinien się zatrzymać na kraju tego jej metalowego okucia, bo średnica koła mierzona klupą po wierzchu stopki jest o 8 do 9 linij większą niż mierzona po wierzchu tekturowej tulejki. Gdyby zatem kalibrownik zachodził na metalowe okucie łuski, to musiałby się przesuwać luzem po tulejce tekturowej i nie kalibrowałby jej a względnie ładunku w tej jego części, o którą nam właśnie chodzić powinno. W mej praktyce nie zauważyłem nigdy potrzeby kalibrowania także metalowego okucia łuski, gdyby się jednak ktoś i na to kaprysował, to musiałby do tego używać osobnego kalibrownika odpowiednio podszmirglowanego.

P. Bolesław Świętorzecki w swej świeżo wydanej pracy „Zarys teorji strzału śrutowego“ mówi, że „gdy ładunki wchodzą do komory broni tak ciasno, że je w nie trzeba siłą wpychać, to się przy strzałach zwiększa ciśnienie gazów“, co zmienia oczywiście efekt strzałów. Skoro tak jest, to kalibrowanie ładunków przerabianych jest czynnikiem, który w sprawie najistotniejszej, bo w sprawie równomiernego działania strzału, upodabnia naboje przerobione do nowych. Gdybyśmy jednak nawet tę kwestję pozostawili na boku, to inne przyczyny przemówią za tem, by każdy myśliwy, który naboje przerabia, kalibrownik posiadał i użył go zawsze, gdy się przekona, że przerobiony nabój wchodzi z trudnością do komory broni. Nabój przeciągnięty dobrym kalibrownikiem wejdzie zawsze gładko do komory, a naboje, które wchodzą do komór tylko z oporem psują broń i powodują jej rychłe rozcheltanie, a to tem pewniej im broń jest dokładniej spasowana. Nadto, gdy do komory broni wsuniemy ładunek stawiający przytem znaczniejszy opór, używając do tego siły dużego palca, a następnie zatrzaskując raz lub nawet kilkakrotnie broń, to nigdy nie jesteśmy pewni, czy po ponownem otwarciu broni, nabój lub też nawet łuskę po wystrzeleniu naboju łatwo z powrotem wydobędziemy. — Prawdziwie jednak niemiłą niespodziankę mamy wtedy, gdy po otwarciu strzelby skonstatujemy, że ładunek zaskoczył poza wyciągacz broni. Wtedy już nie pomoże ani klucz do wyciągania nabojów, ani biczysko pożyczone od furmana, a myśliwy „rozbrojony“ conajmniej na czas następnego pędzenia i usiłujący wybić nabój wszelkiemi sposobami lub odkręcający na mrozie scyzorykiem śrubkę wyciągacza, przedstawia pożałowania godny widok. Nawiasem mówiąc, przyczyną tego dość często obserwowanego zaskakiwania ładunków lub nawet wystrzelonych łusek pod wyciągacz broni jest, poza niekalibrowaniem ładunków przerabianych, to, że wiele sztuk broni jeszcze dziś w użyciu będących, jest przygotowanych na łuski o normalnym lub nawet silnym kraju, podczas gdy dziś wyrabia się prawie wyłącznie łuski o kraju słabym. —

Chodziłoby teraz jeszcze o to, z jakich to przyczyn niektóre przerobione ładunki stawiają opór przy ich ładowaniu do broni.

P. Józef Janicki w swym artykule „Dalsze uwagi w sprawie polskich ładunków śrutowych“ („Łowiec“ Nr. 14/35), przypisuje to różnemu skalibrowaniu przybitek na proch, bo mówi, że raz wpadają one luzem do łusek, a innym razem „trzeba je przemocą wciskać w łuski, co powoduje wybrzuszenie tychże i wątpliwą przyjemność wtłaczania siłą nabojów w lufy“. Nie przeczę, że przybitki tego samego zresztą kalibru, a raczej dla tego samego kalibru przeznaczone, mogą się między sobą o kilka linij różnić, muszę jednak zauważyć, że o tem czy się one rzeczywiście różnią, nie można wnosić z tego, czy do łuski wchodzą łatwo lub trudno. Przyczyną bowiem tego zjawiska będzie częściej nie różnica średnic przybitek, lecz różnica średnic wnętrz łusek różnych sort, z tego zaś powodu nie można nawet fabrykom łusek stawiać jakichkolwiek zarzutów, gdyż te różnice pochodzą z różnic grubości tektur, użytych do fabrykacji łusek. Łuski mierzone klupą po wierzchu, będą wykazywać dokładnie tę samą cyfrę milimetrów i linji, a mimo tego mierzone po swych średnicach od środka, będą wykazywać różnice. Oczywiście, że w łuskach sporządzonych z tektury cieńszej, przybitki będą wchodzić lekko lub nawet luzem, a w sporządzonych z tektury grubej, będą szły opornie.

Twierdzę jednak, że zjawisko opornego wchodzenia przybitek do łusek nie jest lub przynajmniej nie jest stale przyczyną trudnego wchodzenia przerobionych naboji do komory broni. Pod wpływem bowiem takiego twierdzenia P. Janickiego i właśnie dlatego, że Mu chciałem tu odpowiedzieć, że poruszonemu przez Niego mankamentowi można kalibrownikiem zaradzić, zrobiłem 12 ładunków kal. 16 przy użyciu na proch przybitek kalibru 14-stego zatem o 8 linji w swych średnicach większych od przybitek kalibru 16-tego. Użyłem do tego doświadczenia wystrzelonych łusek różnych sort, a że przybitki wchodziły do nich rzeczywiście opornie, byłem przygotowany na to, że będzie trzeba zrobione ładunki przeciągnąć kalibrownikiem. Zanim jednak do tej operacji przystąpiłem, spróbowałem jak ładunki bez kalibrowania będą wchodzić do komór broni i o dziwo, wszystkie 12 ładunków wchodziło zupełnie gładko do kilku sztuk mej broni kal. 16. Zauważam, że użyta do tej próby broń niema komór o specjalnie dużych średnicach wewnętrznych, czego dowodem choćby to, że i u niej zdarza się często, że przerobiony nabój bez przekalibrowania nie chce do komory wchodzić i że właśnie takie niedomagania przy jej używaniu stwierdzone, były powodem, że przed kilkunastu laty zapoznałem się z kalibrownikiem i kalibrowaniem.

Skoro zatem, wobec zrobionego doświadczenia nierówność przybitek na proch nie jest, lub przynajmniej nie jest zawsze przyczyną szkodliwego wybrzuszania się łusek, to muszą być jeszcze inne przyczyny tego zjawiska, że naboje przerobione nie chcą wchodzić lekko do komór broni.

Sądzę, że jedną z przyczyn tego będzie rozdęcie łuski przy strzale, bo jest faktem, że często łuska, jeszcze na nowo nie napełniona, wchodzi tylko z trudnością do komory strzelby. Podobnie zachowuje się łuska, która straciła swą zewnętrzną gładkość wskutek zamoczenia. Najczęstszą przyczyną jednak będzie, mem zdaniem, to, że przy nieostrożnem, zbyt naglem i silnem ściśnięciu naboju, przy jego zakręcaniu, zgniata się w nim ładunek śrutu, a ten działając na ściany łuski, rozpycha je. Dzieje się to szczególnie przy grubszych sortach śrutu, którego odnośne działanie sprawia czasem, że ściany naboju w tem miejscu, gdzie w nim jest ładunek śrutu, wykazują całkiem widoczne wypuklenia odpowiadające ziarnkom śrutu od środka cisnącym.

Stwierdzam jednak raz jeszcze, że tym wszystkim niedomaganiom zaradzi zawsze skutecznie skalibrowanie naboju dobrze dobranym kalibrownikiem, tak, że można powiedzieć, że myśliwy, który naboje przerobione kalibruje, może nie znać wcale klucza do wydobywania ładunków, utkwionych w komorach broni.

(Dokończenie nastąpi).



Korespondencje

Turza, 10 stycznia 1936 r.

Turza pod obstrzałem.

W dniach 20 i 21 grudnia ub. r. odbyło się w lasach Sokołowskich, w kniei Turza-Trzebuska, interesujące polowanie, urządzone przez Inż. A. Ilgnera w 20 strzelb. W pierwszym dniu przy sprzyjającej pogodzie i obfitej szacie śnieżnej, a w drugim przy całodziennym opadzie śnieżnym, padło: 112 zajęcy, 3 lisy, 1 rogacz i 1 cietrzew.

Jelenie w ilości 11 sztuk, wśród których były i kapitalne byki, wyszły, widziane zdaleka jeno przez myśliwych, bez strzału.

Stan zajęcy z powodu motylicy i innych chorób, był o wiele słabszy, niż w roku zeszłym.

W drugim dniu przybył na polowanie prof. Gürtler, który z racji swego łowieckiego jubileuszu, musiał kilkakrotnie odpowiadać na serdeczne i piękne przemówienia pp.: Inż. Ilgnera senjora i junjora, starosty Remiszewskiego i kap. St. Amona.

Delegat M. T. Ł. na pow. kolbuszowski.
Franciszek Dudek

Sielec Bieńków 23 stycznia 1936.

Dnia 21 stycznia b. r. odbyło się polowanie w Łanach Sieleckich, pow. Kamionka Strumiłowa, u pp. Kazimierzów Godlewskich. — W 8 strzelb i 50 nagonki, opolowano 12 miotów leśnych, w których padło 38 zajęcy i 1 miot polny, który dał 17 zajęcy. Rozkład jak na ten rok — świetny, gdy zewsząd słychać o słabym stanie zajęcy, mógłby być podwojony, gdyby się wzięło, zamiast leśnych, o kilka miotów polnych więcej. - A. B.

Łubów, w lutym 1936 r.

Z Bełskiego Towarzystwa Myśliwskiego.

Bełskie Towarzystwo Myśliwskie obchodziło 9 stycznia b. r., 50-lecie swego założenia.

Z tej okazji fundowało Towarzystwo dzięki ofiarnej bezinteresowności Towarzysza z pod znaku św. Huberta, a mistrza po Ojcu i Dziadku, Jerzego Kossaka, obraz św. Huberta do ołtarza w kościółku „Na zameczku" w Bełzie, wystawionym w miejscu, gdzie ongiś znajdowała się kaplica w zamku dawnych wojewodów bełskich. — W tej to kaplicy właśnie przechowywany był przez 3 wieki, malowany według legendy przez apostoła św. Łukasza, obraz Matki Boskiej, który przez Konstantynopol, miał się dostać do Polski, a który później wywieziony przed Tatarami, dostał się przypadkiem do Częstochowy, co w następstwie dało powód do ufundowania klasztoru OO. Paulinów.

Obchód ograniczył się do poświęcenia obrazu i odprawienia uroczystego nabożeństwa — przy udziale dętej orkiestry strażackiej — przez ks. Dziekana Prałata Dra Dymitrowskiego, który wygłosił też okolicznościowe kazanie i zakończył obchód kościelny odśpiewaniem „Te Deum".

Po uroczystości kościelnej podejmowała Drużyna Bełska swych gości śniadaniem, w gościnnym Domu parafjalnym.

Jako charakterystyczne „signum temporis" zauważyć wypada, że na 13-tu członków Towarzystwa, brakowało przy tej wyjątkowej uroczystości pięciu!

Następne dwa dni jubileuszowego polowania w gronie dawnych Towarzyszy-Gości, zredukował nam nielitościwy deszcz do 1½ dnia, o marnym rozkładzie: 3 rogacze (kulami), 2 lisy, 75 zajęcy (częściowo kulami strzelanych). — Mimo deszczu i różnych dezerterów, psujących „Kompanję", dwa wieczory minęły w wesołym nastroju, przypominającym prawie dawne lepsze czasy.

Mieczysław Kruszewski.

Lwów, dnia 28 stycznia 1936 r.

W dobrach hr. Badeniego w Radziechowie, odbyło się doroczne polowanie w Pukaczowie w dniach 21 i 22 b. m. i w Józefowie 23-go. Pierwsze 2 dni polowano przy pięknej wiosennej pogodzie, co nie mogło wpłynąć dodatnio na wynik polowania, gdyż zające siedziały bardzo twardo, nie dając się wypędzić nagonce złożonej ze stu ludzi, z młodników zlanych w nocy obfitym deszczem, który padał w trzeci dzień polowania bez przerwy. 21 stycznia padło w 13 strzelb w 8 miotach 32 zajęcy, 1 lis na 96 strzałów do rogaczy nie strzelano.

22 stycznia, w 13 strzelb w 9 miotach: 56 zajęcy, 4 lisy i 2 rogacze na 158 strzałów.

23 stycznia w 10 strzelb w 5 miotach: 9 zajęcy, 1 lis, na 29 strzałów w czasie ulewnego deszczu.

Razem 96 zajęcy, 6 lisów, 2 rogacze, na 283 strzałów.

W sezonie letnim padło 6 rogaczy. Jest to już drugie polowanie w tym ładnym lesie, które z powodu nieodpowiedniej pogody, wypadło znacznie słabiej, niż należało się spodziewać, w tak dobrze zagospodarowanym rewirze. Stan sarn bardzo ładny, około 600 sztuk. — Prócz podniesionych 6 lisów było strzelanych 10 lisów. Polowanie prowadził energicznie leśniczy p. Bronisław Ditrich, wprowadzając tego roku po raz pierwszy ruchome fladry na flankach. —

W innych rewirach hr. Badeniego, a mianowicie w Witkowie, Chołojowie i Leszczynowie, padło na małych polowaniach w kilka strzelb łącznie 34 zajęcy, 3 rogacze i 1 lis, cztery dziki były strzelane w Witkowie. W tym też rewirze znaczne spustoszenie dokonała zaraza, dziesiątkując i tak nieliczne zające. Jest jednak nadzieja, że niezwykle łagodna zima i spodziewana wczesna wiosna, wpłynie dodatnio na stan zajęcy w przyszłym sezonie.

Mr. St. Jaśkiewicz.

Spółka Akcyjna „Oikos", urządziła dorocznym zwyczajem 25-go stycznia b. r. polowanie w rewirze „Berbeki", powiat Kamionka strumiłowa, głównie na dziki i lisy. Niestety zupełny brak śniegu, przy wiosennej pogodzie, nie pozwolił na otropienie dzików. — Mimo to dzięki nadzwyczaj sprawnemu prowadzeniu polowania przez P. Nadleśniczego Stawowczyka, znalazł się na rozkładzie 1 kapitalny odyniec, 1 lis strzelony kulą, 15 rogaczy i 7 zajęcy. Ponadto strzelany był jeden grubszy dzik — a kilka lisów uszło bez strzału. Miotów zajęczych ze względu na tegoroczny, powszechnie gorszy stan, zupełnie nie brano. Całodzienny pobyt w tej bogatej w zwierzynę kniei, wspaniałe obrazki myśliwskie i staropolska gościnność Pp. Gospodarzy, pozostawiła u uczestników polowania, w codziennem szarem życiu najmilsze wspomnienia.

Marjan Słoński

Łany Sieleckie, 31 stycznia 1936.

Dnia 28 i 29 stycznia, polowaliśmy w dobrach Busk, powiat Kamionecki. — W pierwszy dzień wzięto 6 dużych kotłów w 13 strzelb — na rozkładzie 2 rogacze i 25 zajęcy. Prowadzenie polowania, organizacja, jak zwykle w Busku, najwyższej klasy, mimo niebywale trudnych warunków terenowych, z powodu zupełnej odwilży. K. G.

Zator, w lutym 1936 r.

Na terenie Dóbr Klucza Zatorskiego ubito w okresie od 1 lutego 1935 do 31 stycznia 1936 r., następujące ilości ptactwa i zwierzyny łownej, oraz szkodników:

Zwierzyna i ptactwo łowne: Zajęcy 527, bażantów 475, słonek 2, kszyków 51, kuropatw 329, dzikich kaczek 1361, dzikich gęsi 2, kulonów 15. — Razem 2762 sztuk.

Szkodników: tchórzy 39, kotów 251, psów 216, łasic 197, srok 484, wron 243, jastrzębi 90. — Razem 1520 sztuk.

Ujętym w kilku wypadkach przez straż łowiecką względnie Policję Państw. kłusownikom, broń skonfiskowano, zaś winnych przekazano właściwym Władzom do ukarania. M. S.

Z powiatu jarosławskiego — po sezonie myśliwskim.

Tegoroczny sezon łowiecki stał pod znakiem tak niesprzyjającej aury, że polowania w naszym okręgu, t. j. w południowo-zachodniej części powiatu jarosławskiego musiały zostać przeważnie odwołane. Brak śniegu i mrozu uniemożliwił chodzenie po polach, tak, że odbyć się mogły tylko polowania leśne, których w naszym okręgu jest znikoma ilość. Wskutek tego, dokładne zorjentowanie się w stanie zwierzyny jest bardzo utrudnione i tylko z rezultatów tych nielicznych polowań, które się odbyły, można pewne wnioski wyciągnąć.

Stan zajęcy, które stanowią główną podstawę naszych polowań, wydaje się normalny, w przeciwieństwie do północnej części powiatu, gdzie jak słychać, jest o 50% mniejszy, niż w sezonie ubiegłym. O występywaniu jakichś chorób, względnie zaraz, nie słychać.

Stan kuropatw, których jeszcze przed kilkoma laty była znikoma ilość, poprawia się z roku na rok, a niektóre łowiska mogą się już poszczycić bardzo pięknemi rezultatami. Jeżeli tegoroczne lęgi będą pomyślne, kuropatwy będą stanowić główną okrasę przyszłego sezonu myśliwskiego.

Tak samo należy podnieść z roku na rok poprawiający się stan bażantów, dzięki usilnym staraniom właścicieli terenów, na których ich hodowla na dziko odpowiednie warunki znajduje.

Lisów znikoma ilość, gdyż z powodu hodowli kuropatw i bażantów są prawie wszędzie tępione.

Stan sarn wszędzie bardzo dobry, miejscami znakomity, a nawet konieczny będzie w niektórych łowiskach odstrzał kóz, których zaczyna być za wiele w stosunku do rogaczy.

Południowa część okręgu, granicząca z powiatem przemyskim, o charakterze górzystym, zawierająca większe kompleksa leśne, posiada również i inny charakter zwierzyny. Zajęcy mało, natomiast sarny posiadają tu idealne warunki hodowlane. Stan ich jeszcze w r. 1928 znikomy, zaczyna dochodzić do normalnego — dzięki starannej opiece właścicieli niektórych łowisk. Zaznaczyć tu należy, że parostki sarnie w tej okolicy odznaczają się wyjątkową pięknością.

Dzików, które przed wojną były tutaj stałe, obecnie prawie niema, jednakowoż od pewnego czasu można zauważyć, że ilość ich się zwiększa i jest wszelka nadzieja, że przy pewnych staraniach znowu się na stałe osiedlą. Od kilku lat trzyma się tu także parę sztuk jeleni, które prawdopodobnie przywędrowały z Karpat. W tym roku powiększył się ich stan o 2 łanie i 1 byka, grubego czternastaka, które również z Karpat musiały w te strony zawitać.

Wreszcie podnieść należy piękne ciągi słonek w tej okolicy, oraz ładny stan jarząbków, których zawsze po kilka na polowaniach pada. Franciszek Mycielski, delegat.

Korespondencja z pow. zborowskiego, knieja Nuszcze-Perepelniki.

Dnia 27 i 28 stycznia b. r. polowała „Piątka Nuszcze" w 9 strzelb, przy aurze październikowej lub listopadowej, oczywiście na szarej stopie; miało się wrażenie, że za chwilę usłyszymy „tiro!" i ujrzymy długodziobą słonkę.

Temu też przypisać należy, że na rozkładzie nie mieliśmy tyle zwierzyny, co zwykle — choć kierownictwo polowania, energiczne i fachowe w każdym calu, spoczywało w rękach Zacnego Gospodarza. — Żywiono słuszną pretensję do św. Huberta za brak śniegu i mrozu, skutkiem czego cała zajęczarnia wyniosła się w pole; stwierdziliśmy to, biorąc ku wieczorowi drugiego dnia dwa „drukierki" od pola do lasu. Gdybyśmy byli polowali wyłącznie na polach, bylibyśmy każdego dnia do 100 sztuk pokotu doprowadzili — jednak dźwiganie cały dzień na każdym bucie po 5 kg ojczystego czarnoziemu, odstraszyło nas od tego, a potem w lesie były widoki spotkania się z lisami, z których knieja Nuszcze-Perepelniki słynie.

Pokot dwudniowy wynosił: 3 lisy i 72 zające na 177 strzałów. W. M.

Sprawozdanie delegackie z pow. przeworskiego za rok 1935/36.

Sprawozdanie moje odnosi się przedewszystkiem do północnej części powiatu, stanowiącej mój naturalny rejen delegacki. Z reszty powiatu nie udało mi się zebrać dokładnych informacyj. Na zapytania moje, skierowane do właścicieli łowisk, odpowiedzieli mi jedynie pp.: kolega-delegat Wolski z Siennowa, inż. Zegartowski z Krzeczowic i W. Kellermann z Kańczugi. Na ich informacjach, za które im najuprzejmiej dziękuję, opieram fragmentaryczne sprawozdanie z reszty powiatu.

Zima 1934/35 była lekka, zwierzyna przetrzymała ją dobrze. Niestety wyjątkowo późna, zimna i mokra wiosna 1935, wpłynęła bardzo niekorzystnie na rozmnożę zwierzyny. Słoty i zimna wiosenne, a następnie mokre lato, wywołały szereg chorób. Najwięcej grasowała motylica, wyrządzając ogromne spustoszenia wśród zajęcy, które w wielu łowiskach środkowej i południowej części powiatu znajdowano padłe w ciągu całego roku i to w znacznych ilościach. Obok motylicy występowały inne zarazy, jak np. gruźlica gardła. Choroby te nie wyrządziły szkód tylko w północnej części powiatu, zapewne dzięki tutejszym suchym i ciepłym glebom.

Ucierpiał stan kuropatw. Wskutek niezwykle spóźnionych mrozów i śniegów wiosennych zniszczało wiele gniazd w zupełności lub częściowo. Stąd dużo stadek bardzo słabych, złożonych zaledwie z kilku sztuk. Wskutek nagłego przyboru wody wiele gniazd kuropatwich wyginęło na wiosnę w łozach nad rzeką Mleczką, przepływającą przez większą część powiatu.

S t a n z a j ę c y: w strefie północnej bardzo dobry: około 90% zeszłorocznego, około 100—120% przedwojennego, w strefie środkowej od 40 do 90% zeszłorocznego, w strefie południowej około 50% zeszłorocznego.

S t a n s a r n: dobry, w strefie północnej nawet znakomity (do 250% przedwojennego). Natomiast niekorzystny stosunek płci, nadmiar kóz starych i jałowych, wymagających odstrzału dla uniknięcia degeneracji.

S t a n d z i k ó w: w strefie południowej, gdzie znajdują się ich ostoje, słabszy niż w roku ubiegłym. W kompleksie leśnym Tarnawka — Hadle — Hussów, sięgającym poza granice powiatu, a obejmującym około 4.500 ha, w terenie górzystym, pełnym jarów i zapustów, naprzemian z łąkami i wodami, znajdują dziki dobre warunki bytu. W r. 1934/35 było ich tutaj około 40 sztuk. W roku tym wartość szkód, wyrządzonych przez dziki, wyniosła tutaj około 5.900 zł. Wobec tego przestano je chronić i w roku 1935/36, ilość ich zmniejszyła się o około 40%.

Przechodnie dziki pojawiły się parokrotnie w jesieni 1935 w lasach strefy północnej.

S t a n l i s ó w: pomimo tępienia ich, niegorszy, niż w roku ubiegłym, w strefie północnej nawet znacznie lepszy.

S t a n k u r o p a t w: zależnie od warunków miejscowych wynosił przeważnie od 50 do 90% zeszłorocznego. Trafiały się jednak tereny wyjątkowe, gdzie stan tegoroczny nie ustępował stanowi z przed roku.

S t a n b a ż a n t ó w (n a d z i k o): bardzo dobry. Widocznie niekorzystna wiosna nie zaszkodziła im w tej mierze co kuropatwom. Najlepszą ostoję znajdują one w okolicach nadrzecznych nad Sanem, Wisłokiem i Mleczką, tam, gdzie ocalały jeszcze większe partje łozin. Stan ich wynosił 100—150% przeszłorocznego.

S t a n p t a c t w a w o d n e g o i b ł o t n e g o: średni, mniej więcej równy zeszłorocznemu.

S t a n p t a c t w a d r a p i e ż n e g o, zwłaszcza zaś krukowanych: wron i srok, zmniejsza się stale w łowiskach dobrze zagospodarowanych. Znaczne szkody wyrządzają tutaj co roku jesienne naloty gołębiarzy i błotniaków, wywodzących się w dużych lasach dalszych okolic.

Oczywiście stosunek procentowy zwierzostanu z r. 1935/36, do stanu z roku ubiegłego, odnosi się tylko do terenów, nie dotkniętych przez powódź w r. 1934.

W związku z dzisiejszemi strasznemi stosunkami gospodarczemi duże szkody wyrządza kłusownictwo i wnykarstwo. W latach poprzednich przyduszone ostremi karami, przycichło w łowiskach dobrze zagospodarowanych. Teraz znowu zaczyna podnosić głowę. Niemało złego zrobiła tu ostatnia amnestja, której ujemne skutki powszechnie dają się odczuwać.

Wnykarstwo występuje zwłaszcza w strefach północnej i południowej (okolica Kańczuga-Manasterz). Kłusownictwo wszędzie. Groźne zwłaszcza poczyna być kłusownictwo z broni małokalibrowej, niesłychanie trudne do wytropienia. Jeśli plagi te nie zostaną znowu zduszone w zarodku, nie będzie mowy o prawidłowej gospodarce łowieckiej.

Wyniki polowań.

Wobec niskiego stanu zajęcy i fatalnej pogody w grudniu 1935 i styczniu 1936, opolowano tylko część łowisk. Wiele terenów zostało niewyzyskanych. Jest to bardzo pomyślne ze względu na słaby stan zajęcy w środkowej i południowej części powiatu.

Strefa I., południowa (karpacka): Dzików ubito 3 w Hadlach i Tarnawce (w r. 1934/35 — 8). Rogaczy w Tarnawce 6 (w r. 1934/35 — 6).

Na polowaniu kniejowem w Sieteszy u p. B. Łastowieckiego ubito w deszcze, w 9 strzelb 23 zające.

Na polowaniu kniejowem w Lipniku u p. A. Wasiutyńskiej w 7 strzelb — 2 lisy, 12 zajęcy i 2 bażanty.

Strefa II., środkowa (podkarpacka):

18 stycznia 1936 w Pantalowicach, u p. Z. Łubkowskiego w 8 strzelb ubito 63 zające. W Żuklinie i Kańczudze u p. W. Kellermanna 50 zajęcy (w r. ub. 113).

18 stycznia 1936 w Krzeczowicach, na terenach dworskich (maj. Polskiej Akad. Umiej.), w 9 strzelb ubito 85 zajęcy. Tereny te w r. 1934 w około 40% zalane były przez powódź. — Ogółem w Krzeczowicach ubito w r. 1935/36: zajęcy 85, rogacza 1, bażanty 2, kuropatw 16, przepiórkę 1, kszyka 1; — psa 1, kotów 3, wron 5, sroki 2, gołębiarza 1.

W Siennowie, u p. Z. Wolskiego ubito (obszar łowiska około 2300 ha): rogaczy 5, zajęcy 28, bażantów 24, kuropatw 387, przepiórek 26; — psów 14, kotów 14, wron 19, srok 30, gołębiarzy 3, krogulców i innych 15, tchórzy i łasic 5.

Strefa III., północna (niżowa): Łowiska niżej podpisanego (razem z Chodaczowem w pow. łańcuckim i częścią Leżachowa w pow. jarosławskim (liczą około 4600 ha):

21 XI 1935. Głogowiec — Tryńcza. Stopa czarna, twarda (teren zalany w r. 1934 w około 70%). Kociołkowe, 2 mioty łozinowe, 10 strzelb, 90 zajęcy.

9—10 XII. 1935. Gorzyce — Tryńcza — Ubieszyn — Wólka Ogryzkowa. Stopa czarna, miękka, błoto: czas fatalny. Dwudniowe, kociołkowo-kniejowe. 16—17 strzelb, 346 zajęcy, 1 lis, 2 bażanty.

Razem w łowiskach moich ubito: dziki 2, lisów 14 (w tem 9 młodych), rogaczy 7, zajęcy 495, bażantów 17, kuropatw 528, przepiórek 10, gołębi grzywaczy 15, kaczek krzyżówek 93, kaczek innych gatunków 21, słonki 2, chróściele 4, kszyki 3; — psów 53, kotów 129, wron 122, srok 87, gołębiarz 1, krogulców 9, błotniaki stawowe 3, błotniaki zbożowe 2.

Część terenu nie została opolowana.

Tereny zalane przez powódź w r. 1934, powróciły już niemal w zupełności do normalnego stanu zwierzyny. Świadczy o tem wynik polowania w dniu 21 XI. 1935. Znamienne jest to bardzo szybkie tutaj, przy należytej ochronie, wyrównywanie się stanu zwierzyny na terenach popowodziowych, o ile one z natury są przepuszczalne i suche, jak właśnie w widłach Wisłoka i Sanu.

Z Ordynacji Przeworskiej nie odpowiedziano na moją prośbę i nie nadesłano mi danych, wobec tego zmuszony jestem uminąć te łowiska, najrozleglejsze i najważniejsze w naszym powiecie.

Wobec niebywałego ciepła w grudniu 1935 i styczniu b. r., parkotnia zajęcy rozpoczęła się bardzo wcześnie. Skutkiem tego były młode zajączki, znalezione u mnie w paru wypadkach w pierwszych dniach lutego. Oczywiście ten pierwszy miot zajęcy musiał ulec zniszczeniu wskutek spóźnionej wprawdzie i krótkotrwałej ale bardzo mroźnej i śnieżnej zimy lutowej. Jest to niezbyt pomyślna zapowiedź dla zwierzostanu najbliższego sezonu.

Wykaz zwierzyny łownej i szkodliwej, ubitej na terenie powiatu przeworskiego w czasie od 1 lutego 1935 do 31 stycznia 1936 r., zestawiony na podstawie danych, dostarczonych Starostwu w Przeworsku:

Dziki 3, lisów 28, borsuk 1, rogaczy 53, zajęcy 1422, królików 7, bażantów 190, kuropatw 992, przepiórek 22, slonek 5, Kaczek 159, kszyków 10, chróścieli 4, gołębi-grzywaczy 15.

Psów 214, kotów 405, kuna 1, tchórzy 26, łasic 33, wron 574, srok 367, kruki 3, gołębiarz 1, krogulców 9, błotniaki stawowe 3, błotniaki zbożowe 2, ptaków drapieżnych 138, czapli 5.

Tryńcza, 25 lutego 1936

Dr. Marjan Nowiński
delegat M. T. Ł.

Sprawozdanie łowieckie z powiatu rzeszowskiego.

Dopiero w okresie jesiennych i zimowych polowań okazało się, jak znacznie zmalał u nas stan drobnej zwierzyny łownej. Stwierdziliśmy wszyscy nie bez pewnego zdziwienia przy różnych myśliwskich okazjach, że ilostan zajęcy spadł o jakie 40%, a kuropatw o 20% w porównaniu choćby z rokiem 1934/35, nie wspominając o latach dawniejszych.

Zważywszy, że ani zbyt ostrej nie mieliśmy zimy, ani poważniejszych chorób w znaczeniu epidemicznem, prawie że nigdzie nie dostrzeżono, szukaćby należało tych wszystkich ubytków w innych przyczynach. Za istotniejszy powód zjawiska, napełniającego głębokim smutkiem nasze serca, uważałbym: chłodną i mokrą wiosnę w miesiącach marcu i kwietniu, oraz dość częste nocne ulewy, o żywiołowem nasileniu, zanotowane z końcem maja i w początkach czerwca. Zatapiały one nagle w nocy lub nad ranem znaczniejsze przestrzenie w zagłębieniach falistego terenu, pogrążając w nurtach powodzi małe zajączki i zapełnione gniazda kuropatwie.

Nie w mniejszym stopniu przyczyniły się do upadku zwierzostanów także sidła i wnyki, zastawiane wszędzie po wsiach i przez rok okrągły, kłusownictwo z bronią palną, występujące w mniej strzeżonych obwodach wspólnych, wreszcie włóczące się po polach bezdomne psy i koty.

Ale i kryzys ekonomiczny zaznaczył się również bardzo ujemnie w naszej gospodarce łowieckiej. Tak towarzystwa myśliwskie, których tutaj mamy dwa, jak myśliwi-dzierżawcy i ziemianie, gnębieni brakiem pieniądza, zredukowali do minimum straż łowiecką, zmniejszyli lub skasowali strzałowe, zaniechali sprowadzania zwierzyny rozpłodowej i nawet dokarmiania własnej. Tylko niewielu z nich, rozmiłowanych jeszcze dotychczas myśliwych, potrafiło utrzymać jako tako na dobrym poziomie swoje łowiska i cieszyć się później pomyślniejszym wynikiem na polowaniach. Kilku z ziemian nie urządziło już wcale polowań, choćby dlatego, by nie płacić nowego uciążliwego podatku gminnego, albo nawet wyrzekło się z tego samego powodu dzierżawionych od lat — łowieckich obwodów wspólnych. Co stanie się z opuszczonemi łowiskami, łatwo zgadnąć. Stąd horoskopy na przyszłość nie przedstawiają się wcale różowo.

—o—

Mimo okazywanych dobrych chęci ze strony władz administracji ogólnej, nie można jeszcze skoordynować z nią realnej współpracy. Przychodzi ciągle z trudem zrealizowanie naszego postulatu, ażeby np. wydawanie kart łowieckich, lub przyjmowanie do wiadomości kontraktów dzierżawnych, odbywało się w ścisłem porozumieniu z delegatami. O karty na broń tu nie chodzi, bo te może sobie Starostwo wydawać stosownie do swego uznania, ale przy kartach łowieckich, z któremi wiąże się już wykonywanie prawa polowania — prawidłowego, względnie rabunkowego, ma się rzecz zgoła inaczej. Wielkiej wagi są tu bowiem kwalifikacje myśliwskie danego osobnika, których może udzielić w wypadkach przynajmniej wątpliwych, jedynie delegat na podstawie swej szerokiej znajomości stosunków. — Jego opinja mogłaby mieć duże znaczenie i przy zatwierdzaniu kontraktów dzierżawnych.

Kart łowieckich wydaje się u nas stanowczo za wiele i często ludziom, nie mającym z etyką i moralnością łowiecką nic wspólnego.

Usiłowania do nawiązania tak pożądanego kontaktu i pożytecznej współpracy, powinny być jednak obopólne, a nie, jak dotąd, jednostronne, to zn. jeno od chętnych delegatów idące, którym przecież nie wypada ciągle się narzucać.

—o—

Z odbytych w sezonie polowań wymienię te tylko, które dały albo lepsze wyniki i były bardziej urozmaicone, albo też wypadły całkiem źle, świadcząc wymownie o cofnięciu się zwierzostanów.

Pierwsze polowanie zbiorowe urządził nam p. Jan Jędrzejowicz w dniu 30 X. 1935, w lesie głogowskim, w którym ubito w 8 strzelb: 6 słonek, 10 zajęcy i 1 rogacza. Słonek było wiele; strzelano do 19, a widziano 30. Przeszkadzał deszcz rzęsisty przez cały dzień.

2) W dniu 9 XI. w Zwięczycy w wiklinach nad Wisłokiem, dzierżawionych przez Towarzystwo Myśliwych, padło w 12 strzelb: 2 lisy, 10 bażantów, 9 kuropatw, 1 kszyk i 20 zajęcy. Wiele spudłowano.

3) W dniu 14 XI. w Tyczynie na polach u p. Adama Uznańskiego, strzelono w 7 strzelb: 3 bażanty, 7 kuropatw i 73 zajęcy.

4) W dniu 23 XI. w Zarzeczu-Siedliskach na polach, u p. inż. Edmunda Jurkowskiego, ubito w 12 strzelb: 1 krogulca, 1 kaczkę-krzyżówkę, 1 kuropatwę i 37 zajęcy. Do 2 gołębiarzy chybiono.

5) W dniu 14 grudnia w Przybyszówce na polach, dzierżawionych przez Towarzystwo Myśliwych, strzelono w 15 strzelb w 6 kotłach: 1 lisa, 1 gołębiarza na kuropatwie, 3 bażanty i 84 zajęcy. — Na tem samem łowisku padło ongiś w r. 1930, zajęcy 375!

6) 16 XII. ubito na polach Jasionki u p. Jana Jędrzejowicza przy udziale 12 myśliwych — zajęcy 190. Dawniej padało tam 400 i więcej szaraków.

7) 16 i 17 XII. w Przewrotnem, przeważnie w lesie, u p. Stanisława Politalskiego, strzelono w 19 strzelb w obu dniach: 3 lisy, i 98 zajęcy. Do dzika spudłowano.

8) 17 XII. w Rudnej Małej, w lesie, u p. Stefana hr. Dąmbskiego, padło w 12 strzelb: 6 lisów, 5 bażantów i 35 zajęcy. W każdym miocie były sarny; w jednym naliczyłem ich w rudlu 18 sztuk! Widzieliśmy także dwa grube jelenie-byki i starą łanię.

9) 21 XII. w Świlczy, na polach dzierżawionych przez p. Dra Adama Midowicza, ubito w 18 strzelb: 94 zajęcy.

10) 30 XII. w Woli Zgłobieńskiej w lesie, u p. dra Midowicza, strzelono przy udziale 25 myśliwych: 3 lisy (w jednym miocie), 1 jarząbka (koguta) i 35 zajęcy. Czarna stopa, ciepła pogoda, a nadewszystko plaga kłusownicza, która wprost szaleje w tamtych odległych, słabo strzeżonych rewirach, złożyły się na ten dość słaby pokot.

11) Do nieudatnych zupełnie zaliczyćby trzeba polowanie na polach w Zwięczycy, gdzie w dniu 18 I. 1936, strzelono w 6 kotłach zaledwie 44 zajęcy i 1 bażanta. A liczyliśmy na 150 sztuk!

12) Jeszcze smutniej wypadły łowy w Błażowej w lesie. Tam ubiliśmy w 8 strzelb przy 50 ludziach nagonki: 2 (dwa) zające! Może obfita okiść przeszkodziła, może krzywo szły śruty, ale faktem zostaje, że jeden zając kosztował wtedy 35 zł.!

Z powyższej kroniki wypływa, że tylko tam, gdzie zwierzynie zapewniono energiczniejszą ochronę i lepszą opiekę, było jej więcej. Na dowód przytaczam polowanie w Załężu w Ordynacji łańcuckiej, gdzie z końcem grudnia ubito w 3 czy 5 strzelb około 600 zajęcy i 200 bażantów. Dokładnych danych nie posiadam.

—o—

Jeszcze jedno. Tyle się teraz słyszy i czyta o polskich prochach bezdymnych do nabojów śrutowych, że i ja pozwolę sobie zabrać skromny w tej sprawie głos. Na podstawie własnej praktyki i obserwacji wyników różnych strzelań, nieopartej oczywiście na uczonych prawidłach balistyki, stwierdzić mogę sprawiedliwie, że tak nasze prochy, jak i gotowe naboje są w normalnej temperaturze powietrza znakomite. Szczególniej te W. S. M. — Kuropatwy, kaczki, bażanty, zające i lisy, dobrze trafione i z d o b r e j strzelby, rulują w ogniu. Z prochów postawiłbym na pierwszem miejscu proch marki „Łoś". Pierwszorzędny!

Lubię strzelać nabojami własnej roboty; wiem wtedy, czem strzelam. „Łosia" używam także do łusek już raz przestrzelanych. Do rekonstrukcji nadają się doskonale nasze spłonki „Pocisk", które nigdy nie zawodzą. Dawka „Łosia" dla kal. 16: gramów 1.80. Należy go wsypać i pukaniem spowodować by płateczki równomiernie się na sobie ułożyły. Na proch kładę lekko wojłokową przybitkę, ale tak, by go nie uciskała. Przybitka ta m u s i jednak wejść bardzo ciasno. Ponieważ przestrzelona łuska miewa ściany nieco rozszerzone, dlatego przybitkę owijam jeszcze cienkim papierem lub bibułką i wciskam ją tak długo, dopóki się na krawędzi wewnętrznej tulejki sama nie zatrzyma. — Na nią daję cienką twardą przybitkę z tektury. Wsypuję następnie uniwersalny śrut Nr. 3, albo w zimie Nr. 1, o wadze 28 g, również przez pukanie równomiernie ułożony i przykrywam go tekturową przybitką, a następnie przy pomocy skalibrowanej maszynki starannie zakręcam. — Nabój jest gotowy. Ale jaki! Na kuropatwy używam śrutu Nr. 5. Strzelane takim nabojem, spadały jak szmaty, na odległość 50—60 kroków. Tak samo kaczki. Na pewnem polowaniu zabiłem tej zimy, strzelając na próbę, zająca w rzadkiej drągowinie śrutem Nr. 1, na odległość liczonych 76 kroków, a dwa lisy na linji na odległość 60 kroków, śrutem Nr. 3. Padły w ogniu i ani drgnęły.

Pewnie, że zwierzyna, trafiona źle i pokaleczona, idzie dalej i męczy się. — Ale to już nie wina prochu. — „Rottweil" także by nie pomógł!

—o—

Towarzystwo Myśliwych urządziło na swoich terenach w czasie od 1 stycznia 1935 (na kaczki, słonki i t. p.) i od 20 października 1935 do 31 stycznia 1936 (na zające i inną zwierzynę łowną) następujące polowania:

Zespołowych polowań zorganizowano 8 (raz jeden na danem łowisku), na kuropatwy polowali członkowie na wylosowanych przez siebie łowiskach, mogąc ich ubić tylko sztuk 60, tępieniem zaś szkodników zajmowała się przeważnie zaprzysiężona straż łowiecka.

Zwierzyny łownej strzelono razem: zajęcy 335, bażantów 13, kuropatw 452, kaczek 62, kszyków 12, słonek 3, przepiórek 15. — Zwierzyny szkodliwej ubito: lisów 3, łasic 6, wron 35, srok 476, jastrzębi gołębiarzy 1, krogulców 6, psów 30, kotów 28.

Dodatkowo komunikujemy, że stan zajęcy był w tym roku słaby, o 40% gorszy, niż w r. zeszłym, zaś ilostan kuropatw spadł o 20%.

Rzeszów, w lutym 1936 Władysław Gürtler
delegat.

Sprawy Towarzystwa

PROTOKÓŁ
Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU MAŁ. TOW. ŁOW. we LWOWIE

z dnia 17 stycznia 1936 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni Wiceprezesi: Wojciech hr. Gołuchowski, Andrzej Ks. Lubomirski, Albert Mniszek, członek honorowy Dr. Alfred Sander; członkowie: Dr. Stefan Gajewski, Stanisław Jaśkiewicz, Stanisław Pieńczykowski, Dr. Franciszek Piechowski, Dr. Edward Skowroński, Inż. Tadeusz Sroczyński i Dr. Witołd Ziembicki.

Nieobecność usprawiedliwili: Gen. Walery Maryański i Dr. Jerzy Rosienkiewicz.

Zaraz po otwarciu posiedzenia Prezes Juljusz hr. Bielski poświęcił gorące słowa pamięci ś. p. Kazimierza Marmarossa.

Następnie odczytano protokół z posiedzenia Wydziału z dnia 23 grudnia 1935 i zmieniono porządek dzienny obrad, biorąc jako pierwszy punkt 4 i 5.

Pp. Mniszek i Ziembicki referowali umowę z firmą Gubrynowicz w sprawie okładki na „Łowca" i akwizacji ogłoszeń, oraz poruszyli sprawę obchodu 60-lecia Towarzystwa. Postanowiono zamówić odznakę Jubileuszową, oraz powołać Komitet w osobach pp. Mniszka i Ziembickiego, którzy zajmą się urządzeniem uroczystej akademji i przedłożą wnioski dotyczące tej imprezy Wydziałowi do zatwierdzenia.

Dr. Skowroński odczytał sprawozdanie kasowe.

Następnie Dr. Skowroński złożył szczegółowe sprawozdanie z posiedzenia Komisji statutowej w Warszawie z dnia 27 listopada z. r. — Zabierali głos pp. Sander i Mniszek powołano Komisję w osobach pp. Piechowskiego, Rosienkiewicza, Sandera i Skowrońskiego z poleceniem, by na najbliższem posiedzeniu Wydziału zreferowała projekt statutu Związku w odniesieniu do M. T. Ł.

Postanowiono nie zwoływać narazie Zjazdu Delegatów i tylko zwrócić się do nich z prośbą, by odbyli w ciągu miesiąca marca powiatowe posiedzenia delegatów.

Porządek dzienny na powiatowe zjazdy delegatów polecono przygotować p. Skowrońskiemu.

Przyjęto nowych członków pp.: Baltazara Niepokojczyckiego, Jana hr. Potockiego, Henryka hr. Potockiego, Kazimierza Ringa, Kazimierza Sambora, Juljusza Sochanika, p. Wilbę i inż. Bohdana Zienkowicza.

Zamianowano delegatami pp. Jana hr. Gołuchowskiego, Jana Stanka i Jerzego Zawidowskiego na pow. Gródek Jagiell., Franciszka Jordana Rozwadowskiego na powiat Tłumacz.

Odczytano resume ze sprawozdań delegatów w sprawie stanu zajęcy w Małopolsce.

Odczytano pismo Gen. Maryańskiego w sprawie wydawania kart łowieckich na terytorjum woj. Tarnopolskiego i postanowiono zwrócić się w tej sprawie o interwencję do Polskiego Związku Stow. Łow. w Warszawie.

PROTOKÓŁ
Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU MAŁ. TOWARZYSTWA ŁOW.
z dnia 11 marca 1936 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski. Obecni: Wiceprezesi: Andrzej Ks. Lubomirski, Albert Mniszek, członek honorowy Dr. Alfred Sander. — Członkowie: Gen. Walery Maryański, Stanisław Pieńczykowski, Dr. Franciszek Piechowski, Dr. Edward Skowroński, inż. Tadeusz Sroczyński; zastępcy Członków: Stanisław Longchamps, Stanisław Jaśkiewicz i inż. Zbigniew Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: Zygmunt Gronziewicz, Dr. Stefan Gajewski, Dr. Ksawery Obmiński, Dr. Jerzy Rosienkiewicz.

Przystąpiono do porządku dziennego. Na wstępie Prezes J. hr. Bielski w gorących słowach uczcił pamięć zmarłego członka Wydziału Henryka Preka, podnosząc zalety Jego jako członka i myśliwego.

Delegatowi M. T. Ł. p. Dr. Skowrońskiemu na posiedzenie Zarządu P. Z. St. Ł., mające się odbyć w dniu 22 marca b .r., udzielono informacyj tyczących się postulatów M. T. Ł.

Ustalono termin Dorocznego Walnego Zjazdu M. T. Ł. i związanych z tem ewentualnych imprez w obchodzie 60-lecia Towarzystwa — na dzień 6 czerwca b. r.

Odczytano pismo hr. Franciszka Zamoyskiego w sprawie ochrony dzików, zgodzono się po dyskusji, w której zabierali głos pp.: Ks. Lubomirski, Mniszek, Sander, umieścić powyższe pismo w „Łowcu".

Uchwalono wysłać pismo do „Łowca Wielkopolskiego" z okazji pokazu trofeów w dniu 15 b. m. w Poznaniu.

Sprawę statystyki ubitej zwierzyny wedle opracowanego przez p. Starostę Ulma formularza, postanowiono poruszyć na Walnem zebraniu członków M. T. Ł.

Na wniosek p. Sandera, nadano bronzowy medal zasługi strażnikowi łowieckiemu w Snowiczu, Hrehorowiczowi, za bardzo energiczne i skuteczne tępienie kłusowników.

Przyjęto nowych członków: Pana Wojewodę Władysława Belinę Prażmowskiego ze Lwowa, Ks. Józefa Sapiehę z Oleszyc, Dyr. Gezę Roboza, Inż. Juljusza Misiołka, Rudolfa Drillicha, zarządcę Antoniego Taborskiego, zarządcę Ignacego Brysia — wszystkich ze Skolego i Józefa Artwińskiego z Podkamienia.

SPRAWOZDANIE
Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. w KRAKOWIE
w dniu 20 lutego 1936 r.

Na wstępie posiedzenia p. wiceprezes dr. Adam Lardemer, jako przewodniczący, poświęca gorące wspomnienie zmarłemu b. członkowi Wydziału ś. p. arch. bud. Kazimierzowi Brzezińskiemu, który czynnym był w Wydziale od początku powstania Oddziału aż do niedawna. — Obecni przez powstanie uczcili pamięć Zmarłego.

Po odczytaniu protokołu z poprzedniego posiedzenia, przyjęto preliminarz na rok 1936 w podobnych granicach, jak za rok poprzedni.

Poruszono sprawę zdarzających się, przedwczesnych i niekorzystnych dla łowiectwa, rozwiązań przez starostwa umów o dzierżawę polowań obwodów łowieckich wspólnych. Po zebraniu bliższych danych, postanowiono zająć odpowiednie stanowisko w tej sprawie.

Omówiono jeszcze bliżej kilka spraw z poprzedniego posiedzenia Wydziału.

Przybyli nowi członkowie: Górskie Towarzystwo Myśliwskie w Gorlicach, dr. inż. Juljusz Jakubiec, prof. dr. Teodor Marchlewski, Marjan Nowak, Witold Nowak, Adam Stonawski i prof. Tadeusz Waśkowski.

Mianowani delegatami: Witold Nowak, Kaśna dolna, na powiat Tarnów, inż. Mieczysław Walter, Biskupice, na powiat Kraków i Michał Wężyk, Faszkówka, na powiat Wadowice.

Przy sposobności przypominamy zalegającym z opłatą członkom wyrównanie wkładek czekami P. K. O. Nr. **konta 405.265** (a nie 145.839).

Za Wydział Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie.
Stanisław Morawetrz, sekretarz Dr. Adam Lardemer, wiceprezes

Kącik kynologiczny

„DZIEŃ PSA" urządzony będzie dnia 77 czerwca b. r. Zgłoszenie na pokaz psów, wynosi dla członków Oddziału 1 zł. 50 gr., a dla nieczłonków 3 zł. od pojedyńczej sztuki.

Druki na zgłoszenia zamawiać można w redakcji „Łowca", Lwów Ossolińskich 11.

Zgłoszenia zamyka się z końcem kwietnia. Wydawnictwo „Pies" Tom II. jest do nabycia w cenie 3 zł. za numer.

SPROSTOWANIE.

W sprawozdaniu p. Marsa z polowania na dziki w Kamieniu, w numerze 3-cim „Łowca", podano mylnie nazwisko p. Dyrektora lasów. Ma być Surmiński a nie Strumiński.

Na ołtarz św. Huberta, złożył A. G. Stryj — zł. 10.

TREŚĆ NUMERU 4:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 70 zł. ¼ str. 36 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł. — Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81.
Oddział w Krakowie ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50.